TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Rok I., No. 45 — Nowy Jork, 7 listopada, 1943 — New York, 21, N. Y., November 7, 1943 — Cena 10 ct.

WŁADYSŁAW M. BESTERMAN

OD DEAT'A DO DANIELL'A

Marcel Déat, publicysta francuski, pytał w przededniu ataku niemieckiego na Polskę przed czterema laty, czy Francuzi mają umierać za Gdańsk. **"Mourir pour Dantzig?"** I odpowiadał, że nie, że nie powinni, że lepiej, żeby Niemcy zabrali to, czego żądają.

Raymond Daniell, publicysta amerykański, starając się dla Ameryki odtwarzać na stroje angielskie, pyta — niemal równo w cztery lata po rzuceniu zapytania Déat'a — czy Anglicy i Amerykanie mają umierać za Litwę, Łotwę i Estonję. **"Die for old little Esthonia, Lithuania, Latvia?"** — (proszę ocenić gustowną ironję tego "old little") I — jak p. Déat w 1939 roku w paryskiem "L'Oeuvre" tak p. Daniell w 1943 r. w "New York Times" odpowiada, że nie, że nie powinni, że niema racji, aby ludzie umierali za te trzy kraje. Niech je Rosja zabierze.

Marcel Déat jest dziś w Paryżu bardziej niemiecki, niż Laval w Vichy. Rozwoju przyszłej karjery Raymond Daniella oczywiście przepowiadać nie mogę.

Identyczność odpowiedzi jaką na przestrzeni czterech lat najkrwawszej z wojen znaleźli dla swych pytań pp. Déat i Daniell w odniesieniu do nie bardzo od siebie odległych nizin nadbałtyckich, od wieków zagrożonych najazdami rotacyjnymi (lewego albo prawego sąsiada, przyczem "lewy" i "prawy" nie jest rozumiany — jak się może wydawać — w sensie ideologiczno-parlamentarnym, bo to się u nich obu zmienia, ale poprostu wedle położenia na mapie, bo to się — niestety — nie zmienia), otóż identyczność odpowiedzi dowodzi, że proces degeneracji moralności politycznej zwany "appeasement" rozwija się jednakowo w warunkach pokojowych jak i wojennych.

Konstrukcja pytania p. Déat'a i p. Daniell'a jest równie identyczna jak ich odpowiedź. Dowodzi to, że szli oni w rozumowaniu swojem identycznemi również drogami. "Umrzeć za Gdańsk" czy "Umrzeć za Litwę, Łotwę i Estonję" — w przekładzie na język rozumowania politycznego ma oznaczać poprostu, że objekt sporu jest tak mały, względnie tak odległy, tak mało znany, tak bardzo podrzędne jest jego znaczenia dla Francuza — w wypadku p. Déat'a, czy dla Amerykanina lub Anglika — w wypadku p. Daniell'a, że bić się o niego nie warto.

Warto sobie natomiast — jak myślę — otwarcie wreszcie powiedzieć, że stawianie pytań tego rodzaju i dawanie na nie negatywnych odpowiedzi jest poprostu techniką szerzenia atmosfery "appeasement'u", jest użyciem najprostszego instrumentu — strachu — dla przekonania wszystkich kandydatów na nieboszczyków, że "gra nie warta świeczki".

Na przestrzeni dwudziestu lat dzielących zakończenie wojny poprzedniej od rozpoczęcia obecnej, pytania typu Déat-Daniell wielokrotnie stawiano narodom Europy i Ameryki w najróżniejszej formie, ale zawsze z tą samą gotową odpowiedzią: — że nie warto!....

Nie warto było pilnować, aby Niemcy miały zamkniętą drogę do Ligi Narodów i aby nie mogły jej od wewnątrz rozwalać, co się z powodzeniem dziać zaczęło od kiedy im w Thoiry i w Locarno otwarto drogę do Genewy.

Nie warto było umierać, by Niemcy nie zaczęły się zbroić. Nie warto było umierać poto, by sobie Niemcy nie sprawili najlepszego w świecie lotnictwa, nie warto było umierać, by nie zajęli Nadrenji, by nie zajęli Sudetów, Pragi, by Mussolini nie zajął Abisynji, Albanji, by wspólnie z Hitlerem nie ćwiczył lotników nad miastami Hiszpanji do przyszłego bombardowania Warszawy, Rotterdamu, Coventry i Londynu. "Umierać?" — pytano — za Nadrenję? Za Negusa? Za Caballero i Companysa? Za Karlsbad? Za Zogu? Za Gdańsk, za Litwę, Łotwę i Estonję?

No, i zamiast za Gdańsk — trzeba umierać za Warszawę, za Paryż, Brukselę, Oslo, Kopenhagę, Hagę, Białogród, Ateny, Pearl Harbor, Manillę, Batawię — za Londyn i Waszyngton i — za Westminster, za Wawel, i za Mount Vernon nad Potomac'iem.

Przez dwadzieścia lat psychiczny i techniczny aparat "appeasement'u" stał do dyspozycji niemieckich planów odwetu i zaboru. Z równą skwapliwością starały się Déaty i Danielle odgadnąć życzenia niemieckie i wybiec im na spotkanie, niezależnie od tego, czy siły zdobywczego barbarzyństwa parły naprzód pod wodzą Noskego czy Stresemanna, Brueninga, Wirtha, Curtiusa, Schleichera, Neuratha, Ribbentropa czy Hitlera.

Przynależność do aparatu "appeasement'u" nie była normowana przynależnością do klasy społecznej ani do partji politycznej. Déat był radykałem, jak p. Daniell jest liberałem, a niezłomny, nigdy nieugięty wróg "appeasement'u" — Winston Churchill — atakowany był za antyniemieckie stanowisko zarówno przez członków Labour Party, jak przez liberałów i konserwatystów z Cliveden i przez stronników Chamberlain'ów. Przez wszystkich, którzy . . . nie chcieli umierać.

Zupełnie tak, jak we Francji, równie jak Churchill niezłomny i nieugięty Georges Mandel, walczący z "appeasement'em" wszędzie gdzie głowę podnosił, zwalczany był jako "reakcjonista" i "nacjonalista" przez "appeaserów" takich jak Paul Faure, Chichéry, Fèvrier — tych niby piekielnie czerwonych i "demokratycznych" socjal-demokratów, tych samych, którzy są dziś na służbie Niemców, Vichy i Laval'a, jak i inny wielki socjalistyczny "appeaser", de Man w Belgji, dziś pomocnik lokalnego Gauleitera.

I we Francji również owa ocierająca sobie usta frazesem demokratycznym "anty-faszystowska" lewica miała w akcji "appeaser'skiej" pełny sukurs tych kół, które nazywała reakcyjnemi. Głęboko w kombinacjach międzynarodowych banków i karteli tkwiący ludzie, którzy naprzód, jako szyld, wysuwali arcydrania de Brinon'a, ci wszyscy, którzy kryli się za Georges Bonnet'em, za "Je Suis Partout" i ci, którzy w Abetz'u, agencie Gestapo i Goebbels'a, podziwiali nowoczesność myśli politycznej — ci wszyscy atakowali Mandel'a i każdego, który śmiał podnieść głos przestrogi, który śmiał wskazać na groźbę jaką kryje w sobie ustępowanie żądaniom niemieckim w imię nieśmiertelnego — jak się obecnie okazuje — pytania "czy warto umierać za taką błahostkę?"

Równie jednak nieśmiertelny jak to pytanie okazuje się sojusz sił pozornie przeciwstawnych sobie, ale działających łącznie ilekroć tajemne moce postanowią uruchomić aparat "appeasement'u" na rzecz o biecującego korzyści profitanta.

Tak, jak we Francji i w Anglji w okresie déatowskiego **"mourir pour Dantzig?"** — dziś w okresie daniell'owskiego **"die for old little Lithuania, Latvia, Esthonia?"** aparat "appeasement'u" rozporządza siłami o dość niespodziewanej, zarówno pod względem rozmiarów jak i konfiguracji budowie. Ani odległość flanków życia społecznego, ani polityczne czy klasowe barjery — nie są przeszkodą w sojuszu sił, pracujących nad rozwojem procesu degeneracji zasad życia międzynarodowego.

Pożywka dla toczących organizm polityczny bakterji "appeasement'u" sporządzona jest zarówno z artykułów republikańskiego "New York Herald-Tribune", jak z new-dealer'skiego Graftona, zarówno z radykalnego "P. M." jak z akcji i wypowiedzi pp. Lamont'ów, współwłaścicieli domu bankowego J. P. Morgan and Co. Tam zaś, gdzie "appeasement" graniczyć zaczyna z gloryfikacją tołstojowskiego "nie sprzeciwiania się złu", podlanego burleską polityczną — tam multi-miljoner Joseph E. Davies spotyka się z internacjonalnie podnieconymi, ultra-czerwonymi radykałami z O. W. I., wspartymi z kolei na młodym dziedzicu... fortuny Warburgów.

Obrazek amerykański jest więc wszechstronnie zaokrąglony — podobnie jak był zaokrąglony obrazek francuski i angielski.

Ilekroć chodzi o zagadnienie honoru i moralności w polityce, ilekroć przyjdzie chwila, w której powiedzieć trzeba twarde "NIE!" temu, co wyciąga łapę po nieswoje — tylekroć niezawodnie odrodzi się międzyklasowy sojusz przedziwnie działających sił. Kiedy Mussolini będzie 2-go września 1939 r. proponował, aby Polska zapłaciła za wojnę rozpoczętą przez Niemcy, własną, polską ziemią — Georges Bonnet będzie go popierał ze wszystkich sił, zbierając poklask komunistycznej "Humanitè". A "New York Herald-Tribune" w takt "Daily Worker'a" przyklaśnie moskiewskiej "Prawdzie", kiedy ta powie, że Państwa Bałtyckie są równie rosyjskie, jak Kalifornja jest amerykańska. Tak samo zupełnie, jak "Je Suis Partout" i "Gringoire" udowadniały, że Austrja i Sudety są niemieckie — after all — a p. Flandin informował rząd polski, że nie będzie mobilizacji z powodu zajęcia Nadrenji przez Niemcy.

Podobnie jak identyczny jest skład chemiczny pożywki "appeasement'u", tak i identyczne są metody jego działań zaczepnych. Metodycznie podgryzając wrodzoną odporność społeczeństwa na cynizm drogą przedstawiania dèatowskiego pytania we wszystkich kolejnych warjantach — od materjalistyczno - marksistowskiego do izolacjonistycznego — obiera sobie ów trąd nowoczesnego życia międzynarodowego jedną lub kilka widomych jednostek, symbolów nieugiętości zasad i charakteru. Atakuje tę jednostkę i bliskie jej ideowo koła, usiłując przedstawić ją jako groźnego dla reszty społeczeństwa szampiona umierania czyli wojny. Przytem wojna ta nazywa się różnie. Czasem prewencyjna, czasem interwencyjna. Oczywiście, zawsze jednakowo niepopularna.

Niezmiennie stosowany jest trick, polegający na pokazaniu opinji publicznej przedmiotu o który walka się toczy, przez odwrócone szkła lornetki — "taki mały, nieznaczny, błahy, nikomu niepotrzebny Gdańsk", "korytarz", "Latvia, Esthonia, Lithuania". Moment przerażenia prawdziwą wielkością przedmiotu następuje później. Kiedy się lornetkę nagle od oczu odejmie i przedmiot ukazuje się wielki, olbrzymi, przygniatający ciężarem swych implikacji.

Tak więc, jak we Francji Georges Mandel i w Wielkiej Brytanji Winston Churchill — tak dziś w Ameryce pod gradem strzał, pracowicie moczonych we wszystkich witaminach "appeasement'u" — w jadzie hipokryzji, fałszu, zakłamania i cynizmu — pod gradem plugawej salwy stoi wspaniały, twardy, nieustraszony góral z Tennessee, Cordel Hull, Sekretarz Stanu. Właściwie już niema inwektywy, którąby na głowę dostojnego szefa Departamentu Stanu nie sypnięto. Zupełnie tak samo, jak wtedy kiedy Churchill stał samotny, wielkim głosem wołający o zbliżającym się pochodzie Hunna. Akrobatyka myśli i słowa, demonstrowana codziennie z kolumn "appeaser'skiej" prasy, do tego stopnia przemieszała skutki z przyczynami, iż dla człowieka, którýby w tej chwili spadł na ziemię amerykańską z księżyca i przeczytał parę artykułów kilku rozigranych panów i jednej figlarnej pani, sytuacja przedstawiałaby się poprostu w ten sposób, że Departament Stanu pod kierownictwem p. Cordell Hull'a winien jest sformowania spisku przeciwko najlojalniejszemu z aljantów. Spisku, który ma na celu pozbawienie bohaterskiego aljanta terytorjów, które aljant ten w pełnem świetle prawa nabył.

Co gorzej — w déatowsko-daniellowskiem wydaniu — uczyniono z p. Cordell Hull'a szefa czy inspiratora jakiejś dla działania na instynkt strachu, wyimaginowanej "partji wojennej", która ma na celu owe przez odwróconą lornetkę pokazywane terytorja "odwojować" od aljanta.

Wzmacniająca się natarczywość inwektyw i harmidru dowodzi, że manewr "appeasement'u" nie chwycił jeszcze. Jakoś ani społeczeństwo amerykańskie, ani jego reprezentacja w osobach członków Kongresu, Izby i Senatu — nie uwierzyły, że trzeba koniecznie wyrzec się najświętszych zasad polityki amerykańskiej, zasad, których nie złamali kierownicy tej polityki poprzez lata agresji od Mandżurji do Pearl Harbor. Jakoś nie widać, by kierownictwo polityki amerykańskiej odwołało, bądź zapomniało deklaracji Stimson'a, Hull'a i Sumner Welles'a o nieuznawaniu zaborów dokonanych siłą. Na straży tych zasad stoi p. Cordell Hull, a straż tę powierzył mu Franklin D. Roosevelt. Atak na Roosevelt'a jest dla związanych czarną umową sił międzyklasowych jeszcze zbyt trudny. Więc — hajda na Hull'a! Zapluć go i zapluć każdego, który ośmieli się odezwać w obronie tych zasad polityki amerykańskiej, które się łamie tylko chyba wraz z ich strażnikami. Więc hajda na każdego, który pozwoli sobie słowo uronić w obronie imponderabiljów, które — czy się czarnej zmowie podoba czy nie — przylgnęły nierozłączalnie do tych "małych" spraw, za które "nie warto umierać". Hajda na Simms'a, na Mowrer'a, na panią McCormick, na Krock'a! Na Forrest Davis'a, na Creel'a, na Lyons'a, Chamberlain'a, Eastman'a! Niech milczą!

Egzekucji narodów trzeba się przyglądać w milczeniu. Tak chce czarna zmowa "appeasement'u".

MELCHIOR WAŃKOWICZ

Tropami cierpienia i miłości

Lekarz naczelny armji polskiej na Wschodzie, świetny chirurg, dobrze po sześćdziesiątce, patrzy wypłowiałym wzrokiem w spękaną burą ognistość, otaczającą nasze azylum, osłonięte dzikim winem, chłodzone wiatrakiem nad głową i bulgotem lodu w wiaderku, z którego wyglądają główki butelek z wodą sodową i limem cytrynowym.

Lipiec w Iraku — to nie przelewki. Tu miał być raj. Podejrzewam, że Adam to przestępstwo z Ewą popełnił naumyślnie, aby być raz już wygnanym z tego pieca do wypiekania chleba.

— Niech pan pomyśli, jak muszą się czuć w tym klimacie nasi malarycy — mówi stary doktór — toną w pocie, trawieni gorączką. A kiedy mijają ataki, muszą pozostawać tygodniami w izolacji, spać pod moskiterami tłumiącymi dopływ powietrza, chwytać spękanemi ustami ten żar powietrzny, idący od rozpalonych płócien namiotowych.

— Ile tego jest?

Nieokreślony ruch ręką — tajemnica wojskowa. Ale ja sam byłem na tych niezmierzonych błoniach obozów malarycznych, błądziłem bezradnie w niekończących się ulicach namiotowego miasta malarji.

Malarja — to narówni z sinemi plamami awitaminozy, zdobiącemi ciała większości żołnierzy — trwała pamiątka, jaką tułacze wywieźli z Rosji.

—Rosja...—wspomina w zamyśleniu stary doktór. Pewno myśli o operacjach, przeprowadzanych przy blasku kolejno spalanych przez pomocnika zapałek (sic!), o operacjach przeprowadzanych improwizowanemi narzędziami.

A że tak już jest na świecie, że tropem cierpienia idzie miłość, więc i ja się nie dziwię, kiedy pozornie bez związku lekarz mi mówi:

— Niech je pan odwiedzi.

Pierwsze siostry — "Egipcjanki"

W Państwie Cierpienia stoją bramy u wejścia. W bramach szyldwachy, za bramami aleje, składy, napisy porządkowe, zdyszane motory, szelest papierów, kantyny, sklepiki, kasyna, mieszkania prywatne personelu, kuchnie, świetlice i natryski, laboratorja i latryny.

Gdzieś pod skorupą tego wszystkiego płynie czarna rzeka cierpienia.

Do pokoju siostry przełożonej wchodziły w białych fartuchach, jaśniejąc w zapadającym wieczorze rąbkami kornetów. Już ich było kilkanaście. Nie stało krzeseł. Siedziały na oparciach foteli, na brzegach skrzyni — ptaki, które przed chwilą krążyły nad czarną rzeką.

Siostra przełożona — to t. zw. Ramzeska. Należy do tych, które nie przeszły przez Rosję ale przez Egipt. Zaraz po wojnie. Kiedy w Rumunji znalazły się resztki ustępującej armji polskiej.

Widzieliście może na uroczystościach wypuszczane z klatek gołębie pocztowe? Podrzuca się je w górę — i już lecą białym obłokiem do wiadomych sobie gołębników.

Gromadka kilkunastu sióstr pojechała do Egiptu. W Kairze usunięto ze szpitala Niemki — należało je zastąpić. Był to szpital egipski — króla Faruka i cały personel był egipski. Nie umiały po egipsku i było ich czternaście na tę robotę, która została po 32 Niemkach.

Nasz naród jest rolniczy. "Może nie wiedzieć Polak, co jest morze, gdy pilnie orze" — pisał jeden z poetów. Siostrzyczki nasze pilnie orały po swoich szpitalach w kraju i w głowie im nie postały piramidy. A tembardziej trąd a tembardziej choroby tropikalne, któremi je straszono.

Z trądem okazała się lipa ale za to służba szpitalna kradła tropikalnie i nie można do nich było mówić. A przecie to swój, siostrzany odcinek walki, odcinek walki z cieniami wypędzonych 32 Niemek.

...Po trzech miesiącach mówiły po arabsku. Wszystkie co do jednej były siostrami oddziałowemi. Zastępczynią przełożonej szpitala została Polka. Król Faruk przysyłał raz po raz cukry.

Chrupały cukry i patrzyły co dalej. Bo skoro cienie 32 Niemek pobite, no to co dalej?

Pierwsi ranni

Przyszli do Afryki polscy żołnierze. — Pewnej czarnej nocy wygaszonymi torpedowcami wyjechali do rozbitego portu w Tobruku, zasiedli na miesiące w płytkich skalnych okopach w obliczu ziejącej piekielnym ogniem dział Mediaury, potem zdławili Mediaurę, ruszyli na Akromę, pod Gazalą szli do ataku na pozycje rąbane w skale sześć kilometrów po płaszczyźnie równej bez najmniejszej zasłony w terenie.

A potem podzielili się na trzy grupy: tych co leżą równemi rzędami po wojskowych afrykańskich cmentarzach, tych co młodym zgiełkiem powrotu napełnili ulice Aleksandrji i tych co wracali ranni.

Na nich — już siostry czekały. Bo ledwo odcumowały wygaszone torpedowce, poczęły dygać pięknie Jego Królewskiej Mości — że to czas do chałupy. Tedy król im jeszcze raz cukry — a one dygają. Tedy król im kwiaty — dygają wciąż. Dygały, kiedy im obiecano awans, dygały, kiedy im potrojono (tak!) pobory. Trzy zostały. Otrzymały brylantowe brosze. Pozostałe jedenaście dygało wciąż. "Bo to widzi Wasza Królewska Mość — czas do chałupy..."

Ta chałupa, to był szpital pod namiotami. Namioty zrywało, piasek zasypywał wszystko. Tory z portu dochodziły za to do samego szpitala. Z wagonów wynoszono wprost na łóżka rannych polskich żołnierzy.

Wiatraczek kręci się monotonnie, monotonnie. O płachtę namiotu uderza piasek jakiejś spóźnionej trąby powietrznej, która jeszcze nie zdążyła się ułożyć na sen. I nagle wbrew tej nudzie irackiej — w namiocie robi się ciepło i przytulnie.

— Pamiętasz tego z amputowaną nogą i ręką?

— Jakże, pisał z Durbanu...

— A tego z przestrzelonym kręgosłupem...

— A tego co ożenił się z Egipcjanką?

Skończyło się opowiadanie o "numerach" szpitalnych. W opowieściach sióstr wstał żywy świat chłopaków z krwi i ciała, zabawnych, nieznośnych, kochanych.

Opowiadają jakie to łase było, kiedy dochodzili do sił, na wyżerkę na polski sposób. Jak pamięcią trzeba było sięgać po za to, czego uczyła trzyletnia pielęgniarska szkoła — do tych tam babciów i ciociów z ich kuchennemi przepisami, jak namawiało się australijski beef aby stał się polskim bigosem.

Z samej głębi cierpienia...

Ale egipskie wspomnienia snuje tylko kilka sióstr. Większość siedzi cicho zasłuchana. Regulamin pozwala na krótkie skarpetki. Widzę na łydkach większości tych milczących sine plamy i wiem: to t. zw. "wizy sowieckie", to ślady awitaminozy, to piętno tych, które przeszły przez Rosję.

Te dziewczęta nie mają dyplomowanych kornetów. Nie przeszły prawidłowej przedwojennej szkoły pielęgniarskiej. Wywiezione z dwoma miljonami Polaków do baraków niewolniczej pracy w tajgi podbiegunowe, do kopalń za kręgiem polarnym, w stepy azjatyckie Turkiestanu — kiedy tyfus plamisty, biegunka, śmierć głodowa i tysiąc chorób związanych z mrozem i głodem zabierały setki tysięcy ludzi — stanęły na posterunku bez żadnego przygotowania ale z postanowieniem — przynoszenia pomocy. Wiele z nich poszło potem do innych działów pracy ale te tu przeszły skrócone kursy i zostały — nad czarną rzeką Cierpienia.

Młodziutka siostra C. była w ostatniej klasie gimnazjum sióstr Urszulanek, kiedy nocą kazano jej w ciągu piętnastu minut zebrać rzeczy i uwieziono, ledwo pozwoliwszy ucałować matkę. Młodziutka siostra C. nie rozumiała, dlaczego nagle jej ziemia ma być częścią Rosji i kiedy wojska sowieckie pamiętnego siedemnastego sierpnia z nienacka uderzyły na tyły walczącej Polski, a potem tępić poczęły polskość — chodziła po zebraniach "starym ojców naszych szlakiem", przenosiła za pazuchą jakieś odezwy, jakieś protesty i wezwania, no i zaaplikowano jej osiem lat ciężkich robót przy rąbaniu drew w podbiegunowej tajdze.

— Czy bardzo bili w śledztwie? — pytam, zniżając głos.

Trudno takie pytania stawiać. Siostra C. rozumie, że trzeba. Ale po jej miłej dziecinnej twarzyczce biegają cienie i milczy.

—Mów, Krystyna — nalegają koleżanki.

Ale Krystyna milczy. Na dnie zapiekłego wspomnienia niezagojone rany boją się dotyku. Więc mówi tylko o "pacanach" — straszliwych rzezimieszkach, wieczystych mieszkańcach katorgi, którzy jedyni nie wymierają, gdy inni mrą, zorganizowawszy sobie w tej jaskiniowej egzystencji prawem silniejszego możność trwania. Mówi o konających wszarzach z prycz, jak żałosne spojrzenia z oszronionych prycz kierują na grających w karty przy rozpalonym piecyku "pacanów", którzy żywią się chlebem odebranym nędzarzom, którzy jako stawkę w kartach stawiają spodnie okrywające ciało jeszcze żywego człowieka.

Mówi o długiej nocy polarnej za barakiem, o blasku zorzy polarnej, o życiu w którym "chleb z masłem był równie daleki jak Pan Bóg."

Wówczas poczęła swój zawód pielęgniarki i wówczas nie przemogła swojemi wątłemi osiemnastu laty nadmiaru zła. Zapadła w apatję, leżała na pryczy bez ruchu całymi dniami. Tak u wielu poczynał się koniec.

Wówczas zażądano od niej jako od "med-siostry", wprawdzie improwizowanej, ale skoro innych nie było, aby poszła zrobić zastrzyk obłąkanemu Polakowi. Brnęła przez śnieg bezmyślnie. W szopie tak niskiej, że rozgiąć się nie było można, leżało dwóch skrępowanych szaleńców. Siostra C. ruszała się jak automat, jej świadomość była poza nią. Wartownik nawalił się całem ciałem na delinkwenta, któremu należało zaaplikować zastrzyk. Szaleniec prężył się całem ciałem. Nagła trwoga — aby nie złamać igły — przejęła siostrę C. Poczęła się modlić: "Boże, Boże — żeby tylko igły nie złamać!..." Po wyjściu ogarnął ją szloch. Była uzdrowiona.

A potem, kiedy wybuchła wojna Rosji z Niemcami i setki tysięcy Polaków wyrzucono za bramy więzień — bez pieniędzy, ubrania i żywności, udzielając im wspaniałomyślnie "amnestji" za niepopełnione winy, która była niemal równa skazaniem na śmierć głodową —siostra C. podążyła tym wielkim spływem nędzy na południe.

Milczące dotąd białe kukiełki poczynają mówić jedna przez drugą.

Pierwsza: Wreszcie stworzyli "sanitarny" pociąg. Lekarza ani apteki nie było. Wozili nas w mróz w nieopalonym pociągu. Tydzień staliśmy na jakiejś stacyjce. Trupy wyrzucaliśmy na perony po drodze. Wreszcie po dwu tygodniach wyładowano nas do jakiegoś "posiołka" (wieś) odległego od miejsca z któregośmy wyruszyli o 60 kilometrów.

Druga: W Guzarze umieszczano chorych na podłodze meczetu ale meczet przepełnił się. Wówczas kładli przed meczetem na szosie, w błocie. Biegałyśmy między nimi nosząc wodę. Jeszcze żywność z Anglji nie nadchodziła. Miałyśmy tylko kaszę i zwilgły czarny chleb w niedostatecznych ilościach. Nie mogłyśmy nic zrobić. Marli jak muchy.

Trzecia: U nas wożono wołami zmarłych na cmentarz w tej samej reprezentacyjnej trumnie; zmarłego wrzucano do dołu a trumna wracała. Potem już ona nie mogła nastarczyć. Składaliśmy ich jak sągi drew. Najbardziej było szkoda dzieci, których wychudłe rączki i nóżki sterczały z wozów.

Czwarta: Sypałyśmy początkowo groby z piasku i stawiałyśmy krzyżyki. Ale wiatr wszystko zawiewał i dałyśmy spokój.

Piąta: we Wrewskoje już pięć miesięcy był szpital a przecie ciągle robiłyśmy baseny dla chorych z puszek od konserw.

Jedna do drugiej: — Tyś ze Lwowa... Pamiętasz naszego poetę M. Pisał ogromną "Pieśń o powrocie". Umierając powiedział: "Widzi siostra... Nie skończę". Bo go zawsze pocieszała, że skończy.

Walka o życie dzieci

A potem poczynają mówić o pierwszych ciężkich dniach w Ziemi Obiecanej, już w Persji. Z Rosji zdołał rząd polski wyewakuować sto kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy i ludności cywilnej i te siostry należały do szczęśliwych, które się przedostały.

— Na plecach chorych chemicznym ołówkiem było wypisane "tyfus plamisty", albo inna diagnoza. O żadnych kartach indywidualnych mowy nie było.

— A te psychozy na tle pelagry... (braku witamin).

—Ci żołnierze chorzy, szukający błędnym wzrokiem nieustannie po sali zaginionych rodzin (przy wywożeniu często rozdzielano rodziny).

—Ta dziewczynka, co od każdego odgradzała się srebrnym orzełkiem polskim, posądzając, że ją znów chce wydać Rosji..

Dokończenie na str. 2-ej



Delegacja gazeciarzy warszawskich wręcza prezydentowi Stefanowi Starzyńskiemu dyplom zakupu Pożyczki Narodowej.



Dzieci warszawskie składają prez. Stefanowi Starzyńskiemu puszkę ze składkami na Fundusz Obrony Narodowej.

(dalszy ciąg ze strony 1-szej)

TROPAMI CIERPIENIA I MIŁOŚCI

Do rozmowy miesza się milczący dotąd lekarz:

— Naznaczono mnie do szpitala w Teheranie wkrótce po jego sformowaniu. Nie zapomnę pierwszego obchodu.

Jakaś kobieta podłożyła walizkę pod poduszkę, bo duszność nie pozwala jej leżeć. Oddech ściganego zwierzęcia. Serce bije jak chce. Arrhytmia perpetua, vitius cordis decompensatus. Aplikuję glukozę ze strychniną. Może uda się uratować... Chora wlepia oczy we mnie: "Czy wrócę?"

Mały Bronuś — na łóżku obok drugiego dziecka leży szkielecik w kałuży oddawanego nieświadomie moczu i kału. W tem dziecku żyją jeszcze tylko oczy — ogromne czarne smutne oczy.

Zosia Zającówna — z twarzyczką pochyloną w bok, umęczoną przez gruźlicę, z szeroko rozwartymi oczyma i strumyczkami krwi sączącemi się bezlitośnie kącikiem ust.

Janek — wycieńczenie, wada serca nie wyrównana, zapalenie nerek, zapalenie płuc obustronne, zapalenie opłucnej. Twarz siedemdziesięcioletniego starca. Stracił w Rosji ojca, matkę, dwie siostry. Co za żywotność dziecka, które nie chce umierać. — Szepcze, jakby legitymując niezaprzeczone prawo do życia — że w Polsce czeka na niego babcia i piesek Filuś, który napewno tęskni do niego. Ale Filuś by nie poznał jego, zapewne by szczekał.

I tak bez końca: glukoza ze strychniną dożylnie, glukoza z cordiasolem, cofeina, pół litra soli fizjologicznej podskórnie, środki cucące podskórnie co trzy godziny.

Mnożyły się objawy choroby opon mózgowych. Z jakąż trwogą patrzyliśmy, czy z igły punkcyjnej spływać będzie wodojasny płyn, czy ropa.

Opanowaliśmy falę duru plamistego, poczęła się odra. Odra, tak niewinna i częsta choroba dziecinna w kraju, tutaj — kończąca się niemal z reguły zapaleniem płuc, którego wyniszczone do ostateczności dziecinne organizmy nie były w stanie przetrzymać.

W naszych oczach, dzieci marły setkami. Rzucili się do pomocy wszyscy — interniści, okuliści, ginekolodzy, chirurdzy, laryngolodzy, neurolodzy — wszyscy przemienili się w pediatrów.

Doktór pamięta, jak ratowali małego Witusia. Na czwarty dzień choroby wywiązało się lewostronne zapalenie płuc, na szósty— prawostronne. Kiedy udało się je opanować, powstaje w drugim tygodniu zapalenie obu uszu, laryngolog przekłuwa błony bębenkowe, ropa płynie strumieniem, tymczasem w trzecim tygodniu poczyna dziecko nękać gwałtowna biegunka, odnawia się już dawno wygasły proces gruźliczy, dołącza się zapalenie śliniczek podszczękowych i w końcu koklusz. Zastanawialiśmy się, skąd dziecku starczy tyle sił na to wszystko.

A w tej walce o życie biedaków z Rosji mieliśmy zaledwo dwie wykwalifikowane siostry.

Teraz więc siostry poczynają przypominać, jak szły do tej swojej kwalifikacji. Pojawiały się w Rosji ubrane w męskie ubrania, w kaftany i spodnie pikowane na wacie, w niemożliwych jakichś łachmanach na nogach, w najlepszym razie w gdzie zdobytych buciorach-skałach, które wydawały grzmoty, kiedy się szło korytarzem.

— Czy pan jest panem, czy pani jest panią? — pytał woźny, kiedy taki stwór dobijał się o zameldowanie u lekarza.

—Widzi pan tę siostrę? — pochyla się do mnie szepcąc siostra przełożona.

Wskazywana przysiadła na brzegu poręczy fotela. Z pod białego kornetu wywinął się niesforny pukiel i spada na buzie młodą o delikatnym rumieńcu.

To jest siostra B. Od pierwszego dnia uwijała się niestrudzona w swoich komicznych watowanych portach, które przesłaniała białym fartuchem, starając się nie hałasować zbytnio żołdackimi buciskami. Gorąco było nie do wytrzymania a te biedaczki nie miały nic po za temi watowanemi spodniami i bawolemi butami. Siostra B., jak i inne, miała ciało odparzone i krwawiące. Wreszcie wydano im zasiłek na umundurowanie po 30 tymanów (około 12 dolarów). Kiedy siostra B. następnego dnia paradowała w dawnem ubraniu, zainterpelowałem ją i ze zmieszanych odpowiedzi dowiedziałam się, że otrzymane pieniądze obróciła na kupno strzykawki.

— Ależ to nietylko ja — woła siostra B. kiedy ją interpeluję, jak to było z tą strzykawką i w głosie jej wyczuwam spłoszoną przykrość, że oto na prywatny rachunek może być zapisane coś, co było cechą zespołu. Przecie te dzieci tak cierpiały.

I znowu mówią o dzieciach, jakby nie miały setek pacjentów dorosłych. W oczach ich wszystkich stoi straszna wizja młodych istnień ginących w oczach personelu na choroby, które w normalnych warunkach dałoby się opanować. Te dzieci — męczennicy, to całkiem inny typ dziecka. Widziałem tych odratowanych chłopców w szkołach rzemieślniczych, z jakiem nabożeństwem przykładają się do pilnika, z jakiem dorosłem poczuciem dorosłego człowieka patrzą przed siebie. Pokazywano mi jednego z nich, który mając dwanaście lat utrzymywał rodzinę złożoną z siedmiu osób, spekulując machorką szmuglowaną na niewiarygodne przestrzenie. Opowiadały mi świetliczarki, że kiedy poczęto tworzyć pierwsze przedszkola i kiedy próbowały utartemi przedwojennemi wzorami inicjować gry w kotka i myszkę, w "lata ptaszek po ulicy" — patrzyły na nie oczy starców, oczy z pomarszczonych twarzyczek, tak, że im piosenka zamierała w półsłowa, bo okazywała się w tych warunkach głupawa, pusta i w swojej obcości bezdennie tragiczna.

— Pamiętam, było to 7 października r. 1942 — mówi cicho jedna z sióstr — doszczętnie zżarty przez pelagrę (brak witamin) czternastoletni junak — rodzaj harcerzy, których opieka zorganizowała w specjalne hufce dla szkolenia i dla pracy— Marian Strzałkowski, poprosił mnie o przyprowadzenie z sierocińca trzynastoletniego brata. Rodzice chłopców zmarli w Rosji. Kiedy młodszy, Wincenty, stanął przy jego łóżku, pouczał go, jak ma się zachowywać, aby się ustrzec zaziębień i malarji, oddał mu swój scyzoryk, pożegnał i prosił, aby brat pozdrowił od niego wszystkich w Polsce. Z trudnością przypominał sobie, komu brat ma oddać pozdrowienie w Polsce, którą opuścił, gdy miał 11 lat. Rekonstruował to sobie mozolnie z pamięci i ze słów umierających rodziców, starając się przekazać ich ostatnią wolę temu ostatniemu żyjącemu. Chłopcy mówili z sobą z powagą starców, którzy widzieli wiele zgonów. Uściskali się. Marjan zmarł 12 października.

— Urządziliśmy im św. Mikołaja — mówi jedna z sióstr i głos jej się łamie i niewiadomo, czy uśmiecha się czy płacze — pierwszego Św. Mikołaja, jakiego mieli od wyjścia z Polski. Rozeszła się wieść, że do szpitala przyjdzie Św. Staruszek, że wypytał w Polsce wreszcie drogę do swoich dzieci. Najmłodsze maleńtasy już nie wiedziały o nim ale im starsi żarliwie tłomaczyli. Poczęło się pisanie kartek z życzeniami, tak jak w Polsce pisano. Dzieci prosiły o cukierki ale i o ...buty. I po raz to pierwszy zapewne Św. Mikołaj miał taką obfitą pocztę do nieba: aby pozdrowić tatę, mamę, braciszków, siostrzyczki — wszystko to wypisywano nader starannie, aby święty się nie zmylił, tak jak tego wymagają podania urzędowe: nazwisko najpierw, potem pełne imię, gdzie maleńki zmarły na biegunkę Wicio był traktowany jako Wincenty a drobna sześcioletnia Anina, którą zabrało zapalenie płuc w ziemlance szklącej lodem — jako Agnieszka.

Kiedy Św. Mikołaj wszedł między dziecinne łóżeczka i tapczaniki, nastawiały się chłonne dziecinne oczy, widzące przez dwa lata tylko brud, szarość i nędzę — na tę koronę złotą, na tę purpurową szatę, na pastorał skrzący od drogich kamieni, na kosz z prezentami suto zdobiony, z którego małe aniołki wydobywały skromne prezenty, wydające się szczytem szczęścia. Mała Marysia, której nie udało się odratować, mała sześcioletnia Marysia, której zadarty nosek i twardo splecione mysie ogonki musiały budzić tyle matczynych uśmiechów, teraz uniosła opłatkową twarz o wyostrzonych rysach, na których leżał cień śmierci. Jeszcze zdążyła otrzymać od Św. Mikołaja małą laleczkę z gałganków. Laleczki już dziecko nie miało siły wziąć w rękę. Patrzało w Św. Mikołaja i wargi jej poruszyły się. Pochyliła się nad nią siostra:

— Wiedziałam, że przyjdziesz, Św. Mikołaju — mówiło dziecko — pamiętam ciebie z Polski. Pewno na Syberję miałeś za daleko...

Problemy zawodowe

Czas wracać z tego wieczoru wspomnień. Szakale za szpitalem już dawno zawodzą dziwaczną sarabandę chichotów. Wzdrygam się. Szakale płaczą głosami mordowanych dzieci. Trzeba koniecznie wrócić do rzeczywistości. Mówię sobie — oto sterylizator, oto kartoteka. Oto realny świat szpitalny, praca z prawdziwego zdarzenia. Pytam, jak tam z tymi polskimi szpitalami teraz.

Okazuje się, że tu w Iraku na pustyni są obecnie trzy szpitale po 1200 łóżek i jeden szpital na 600 łóżek. Sióstr polskich pracuje ponad 400. Pozatem duże szpitale są w Palestynie, Egipcie, Anglji i tam wszędzie, gdzie jest żołnierz polski ale one tych cyfr nie mają.

Do głosu znowu przychodzą "Egipcjanki". To one tu zostały skierowane, nim jeszcze te z Rosji przyjechały. Wyładowano je latem na pustyni Irackiej w Kanakinie, na wzgórzu pokrytem kamieniami. Żar stał się nie do uwierzenia. Odrazu wzięły się do pracy wraz z oddziałem żołnierzy. Wieczorem już spały w namiotach a po dwu tygodniach miały zapełnione 1200 łóżek. To byli nietyle żołnierze wyratowani z Rosji, ile wynędzniały projekt na żołnierzy. Chowali pod poduszki skwapliwie resztki chleba w zwierzęcym lęku — że jutro może zabraknąć. Odratowani nędzarze przychodzili tłumami dziękować. Pierwszym reprezentantem Polski, który ich witał był nie podoficer instruktor—ale siostra. Siostry polskie mają świadomość tego jak zaważył ich wysiłek na tworzeniu kadrów.

Żegnając się pytam, jak to będzie, kiedy znów poczną się walki.

— My i tak ciągle czujemy się na froncie.

Przypominam sobie jak przed rokiem dla "Nurse" w USA pisałem reportaż o siostrach w Hadasie, w Palestynie. O kłopotach zawodowych. O problemie wychodzenia zamąż. O zaszeregowaniach.

— Problemy zawodowe? — marszczą czoła i usiłują coś mądrego powiedzieć — a jakże, mamy: ogromnie trudno jest w tych tumanach pyłu mieć przez cały dzień czysty fartuch.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

KONCERT HUBERMANA I HORSZOWSKIEGO



Mieczysław Horszowski

Dwa koncerty artystów polskich — obok tak zaszczytnie pomyślnego debiutu Rodzińskiego jako stałego kierownika Filharmonji — przydały blasku imieniowi polskiemu w ciągu ubiegłego miesiąca. Z powodzeń ich możemy być tembardziej radzi i dumni, że obaj koncertanci, pp. Huberman i Horszowski ujawnili w sztuce swej, w dobie panującej nam technokracji, tę przewagę ducha nad materją, co stanowi sztuki właściwą istotę i posłannictwo.

BRONISŁAW HUBERMAN łączy niezrównane mistrzowstwo techniczne z głębokiem wniknięciem w ducha kompozycji, subtelność analizy z porywającym zapałem, który nadaje bardzo przemyślanym interpretacjom cechę nawskroś inspiracyjną. Rozpoczynając od starych mistrzów, dał nam sonatę D-dur Haendla w opracowaniu Gevaert'a, wzbogaconem przez niego samego oraz preludjum i fugę A-moll Bach'a i, jako naddatek, arję z tejże Suity na same skrzypce, których wykonanie było wzorem szlachetnej stylizacji. Ulubiona, pełna romantycznej liryki Sonata Franck'a jednoczyła słodycz tonu z zapałem, który poniósł nieco w części drugiej, domagającej się miejscami rozszerzonego tempa, w myśl znanego piszącemu życzenia autora. Mięszanina Schumann'a z Wagnerem, przy całej oryginalności Franck'a cechująca część tę, przywiodła na myśl, zawrotnem tempem kłopotliwem dla obarczonego pianisty, wizytę młodego Wagnera u słynnego Schumanna w Lipsku, kiedy rozlewna wymowa jednego obijała się o gołosłowną niemoc drugiego: "Co to za gaduła" skarżył się Schumann, — "co za mruk" utyskiwał Wagner!

Sąsiedztwo śmiałego i świeżego zawsze Franck'a okazało się niebezpieczne dla starszej fakturą choć niesłusznie zapomnianej, bo wdzięcznej w pomysłach i wprawną ręką opracowanej lecz przydługiej Suity Goldmarka. Nowością zaś były własne Huberman'a układy trzech Mazurków Szopena na same skrzypce. Wczesne te utwory naszego Nieśmiertelnego, opatrzone późnym Opusem w pośmiertnem wydaniu, ujawniły w nowem, przemyślnem opracowaniu, wdzięk w rozmarzonym Kujawiaku A-moll — lecz w zamaszystym, jak na obertasa przystało, Mazurku C-dur... brak basetli, której G struna skrzypiec jednak zastąpić nie może.

Po końcowe punkty programu, Huberman — snać za wzorem Artura Rubinsteina — sięgnął do Hiszpanji, grając dwa utwory Joachima Nin'a o narodowem zabarwieniu: Murciana i Andalusa, a jako naddatek Sarasate'a.

MIECZYSŁAW HORSZOWSKI, który nie tak dawno temu zadziwiał słuchaczy jako "Miecio", jest dziś nietylko dojrzałym ale wytwornym artystą. Niezwykłe poczucie stylu i finezja, przy wybornej technice, stale służącej jako środek do celu, przy żywej i plastycznej rytmice, wysuwają na plan pierwszy niepospolitą inteligencję muzyczną, poszanowanie godności sztuki i jej umiłowanie. Nadzwyczajną jasnością i plastyką odznaczało się wykonanie rzadko grywanego organowego preludjum i fugi A moll Bacha; z dobroduszną prostotą i dowcipnym wdziękiem przemówił stary Haydn w mało znanej Sonacie As-dur. Z następnym Beethoven'em z ostatniego okresu, sprawa jest o tyle ciężka, że kuszący się o niebywałe syntezy głuchy mistrz, stawia też dla instrumentu niesłychane wymagania. Lecz jeśli mógł Francuz zapełnić 500 stron druku dociekaniem, czy Beethoven jest czy nie jest romantykiem, odpowiadając na własne pytanie: "tak i nie", jest tu chyba miejsce na różne nastawienia i indywidualne odchylenia od pojęć utartych. Celuje Horszowski zawsze w jędrnych staccatach a kantylena jego mogłaby tu i ówdzie śpiewać jeszcze wymowniej: być też może nie dotarł tu do samego dna rozpaczy ludzkiej, jaką znał Beethoven a wyraził w przedziwnej "arietta dolente" mową urywaną, lecz na śpiewnem "legato" opartą. Jednakże cudowna Sonata Op. 110 w wykonaniu Horszowskiego miała klasyczny umiar i szlachetne ujęcie ustępy fortepianowo niebezpieczne, jak Trio Scherza, wyszły z nieskazitelną czystością, a fuga, misternie rozpoczęta w doskonałem tempie, utrzymana była w pięknem stopniowaniu aż do apoteozy końcowej.

W drugiej części programu, poświęconej modernizmowi a zakończonej Szopenem, wykazał Horszowski że umie łączyć finezję z brawurą, że technikę jego stać na błyskotliwość, że barwnym kolorytem potrafi zapełnić pustkę "Sztucznych ogni" Debussy'ego, ratować Ravelowskiego "Scarbo" w trudnych przygodach. Dla naszego Szymanowskiego zdaje się żywić kult istotny, co wykazały dwa charakterem różne, dla muzyka ciekawe, dla laika choćby był Mazurem trochę zawiłe mazurki, oddane z animuszem i uczuciem.

Popularna ballada As-dur miała charakter epiczny, co się jej niezawsze przytrafia na estradzie, choć się jej to należy. Nie wiem czy utwór na Majorce zrodzony, odźwierciedla Mickiewiczowską "Świteziankę", jak chcą niektórzy, lecz drugi temat— "syreni" — wyszedł z pod palców Horszowskiego z wielce powabnym czarem. Ostatnia zaś Etuda A-moll (Op. 25), jakkolwiek zaczęta zbyt skromnie jednogłosową swą pobudką, pełna była ognia i blasku.

Wstrzemięźliwość samego artysty stanęła na przeszkodzie mnogości naddatków, o które dopominała się liczna i zachwycona publiczność. Rzadkość występów Horszowskiego sprawia że jest on tu poniekąd "homo novus" i jako taki zmagać się jeszcze musi z uprzedzeniami bezkrwistego krytyków plemienia... Nie ulega jednak wątpliwości, że dalsze, częstsze występy, uwidoczniając niepoślednie dary i całą rzetelność jego sztuki, zapewnią mu zupełne, wielkiemu talentowi należne — zwycięstwo.

Z. 3.

Nauka polska na wygnaniu

(ROZMOWA Z DYREKTOREM POLSKIEGO INSTYTUTU NAUKOWEGO PROF. OSKAREM HALECKIM)

Mała sala w budynku Polskiego Instytutu Naukowego pod numerem 37 East 36th Street w Nowym Jorku, ofiarowanym do użytku przez pp. H. L. Satterlee, pozostanie chyba w pamięci uchodźtwa polskiego jako jeden z najbardziej podniosłych i pamiętnych epizodów tułaczki. Wśród pułek napełnionych książkami gęsto stłoczone audytorjum, półmrok a w kręgu światła przy skromnym stoliku prelegent. Zeszłoroczny sezon odczytowy odznaczał się oszałamiającym bogactwem nietylko pod względem ilości odczytów, lecz również pod względem tematów, prelegentów i języków, w których te odczyty były wygłaszane. Poziom intelektualny i naukowy był zawsze imponująco wysoki, i jeżeli można było mieć jakieś zastrzeżenia, to chyba te, że w tym chlubnym zapale organizacyjnym zbyt mało było jeszcze koordynacji i nazbyt wiele tematów i uczonych usiłowano ogarnąć okresem kilkomiesięcznego sezonu. Niewątpliwie świeżo rozpoczynający się okres przyniesie pod tym względem więcej rozwagi i planowania.

W związku właśnie z drugim rokiem działalności udałem się do dyrektora Polskiego Instytutu Naukowego prof. Oskara Haleckiego, jednego z najwybitniejszych historyków polskich, aby u samego źródła pozbierać nieco informacji o zamierzeniach i pracach tej polskiej placówki naukowej.

W przestronnym i zacisznym pokoju wita mnie profesor Halecki z uśmiechem i właściwą sobie uprzejmością. Profesor Halecki jest bowiem nietylko wybitnym uczonym, lecz również człowiekiem o wielkiej kulturze osobistej, pełnym czaru i prostoty, władającym płynnie kilkoma językami i dlatego idealnie reprezentującym naszą kulturę wobec innych narodów. Właśnie powrócił z jednej ze swoich licznych wypraw odczytowych. Rozmawiamy przez chwilę o tych podróżach do różnych ośrodków Stanów Zjednoczonych i Kanady (Chicago, Pittsburgh, Cleveland, Buffalo, Cambridge, Philadelphia, Milwaukee, Hartford, Montreal, Toronto, Windsor), które dzięki osobie prelegenta są doskonałą reprezentacją polskiej nauki i polskiej kultury intelektualnej.

Po krótkim tym wstępie przystępuję odrazu do właściwego tematu, który mnie tu sprowadził i proszę o informacje dotyczące działalności Polskiego Instytutu Naukowego.

—Czyby pan profesor nie zechciał przedewszystkiem wyjaśnić mi w kilku słowach organizację Instytutu. Większość czytelników Tygodnika Polskiego nie zna jej z pewnością, a i ja sam radbym wiedzieć, np. jakie kwalifikacje naukowe posiadać muszą członkowie czynni i członkowie-korespondenci, jaką funkcję spełniają członkowie Rady Instytutu, czy członkami mogą być tylko osoby przebywające w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie oraz jaki jest skład członków pod względem narodowości?

— Instytut był pomyślany od początku jako zagraniczna stacja naukowa Polskiej Akademji Umiejętności, tak chlubnie znanej na całym świecie z olbrzymiego dorobku swojej 70-cio letniej działalności naukowej. To też organizacja Instytutu wzorowana jest na ustroju Akademji i jej przedwojennych placówek zagranicznych w Paryżu i w Rzymie. Chcąc uniknąć wszelkiej dowolności w dobraniu pierwszych członków czynnych i korespondentów, postanowiono w Statucie Instytutu, że pierwszy zespół członków czynnych tworzyć będą przebywający w Ameryce członkowie Akademji, zarówno krajowi jak i zagraniczni, a pierwszy zespół członków korespondentów — przebywający w Ameryce profesorowie i docenci polskich szkół akademickich. Już jednak na zebraniu inauguracyjnem Instytutu, które odbyło się 15 maja ub. roku, wybrano szereg nowych członków czynnych i korespondentów z pośród uczonych amerykańskich, interesujących się Polską, a przy dalszych wyborach, które w ciągu pierwszego roku naszej działalności odbyły się dwukrotnie, w przyszłości zaś będą miały miejsce raz w roku, w związku z zebraniem publicznem na początku maja, uwzględniliśmy też i w dalszym ciągu uwzględniać będziemy uczonych polskich, nie należących do wskazanych przed chwilą kategoryj. Członków korespondentów, których dorobek naukowy wydatnie się powiększył w ciągu roku, wybiera się na członków czynnych.

Zadania Rady Instytutu są głównie reprezentacyjno - administracyjne, aczkolwiek niektórzy jej członkowie, a przedewszystkiem prezes, b. premjer Jan Kucharzewski, służą nam też swą radą w sprawach wewnętrznych, interesując się żywo całokształtem działalności Instytutu, którego niektórzy z nich są zarazem członkami czynnymi. W Radzie zasiada kilku z najznakomitszych przedstawicieli życia kulturalnego Ameryki.

Członkami Instytutu mogą być tylko obywatele polscy, lub amerykańscy, nie wyłączając oczywiście Kanady, a w przyszłości może także Ameryki Łacińskiej. Zawsze szczególnie chętnie witamy Amerykanów polskiego pochodzenia. Na odczyty oczywiście zapraszamy uczonych różnych narodowości, np. profesorów założonego w Nowym Jorku Uniwersytetu Francusko-Belgijskiego. W paru nielicznych wypadkach weszli do Instytutu zagraniczni członkowie Akademji różnej narodowości, których wojna sprowadziła do Ameryki. Dla przykładu wymienię profesora H. Kohta, b. min. spraw zagr. Norwegji, który szczególnie czynny udział bierze w naszych pracach.

Wobec żywego w Ameryce zainteresowania dla cyfr statystycznych, pragnę dodać, że wśród członków czynnych i korespondentów mamy obecnie 37-iu obywateli polskich, w tym jednego Ukraińca, 39-ciu obywateli amerykańskich, w tem 14-stu polskiego pochodzenia, i 11 Kanadyjczyków, zarówno angielskiego jak i francuskiego pochodzenia.

— Wiem, że praca Instytutu skoncentrowana jest w kilku sekcjach i komisjach. Możeby pan profesor zechciał powiedzieć kilka słów o działalności tych sekcji?

— Instytut jest podzielony na 5 sekcyj. Wszystkie rozwijają ożywioną działalność, aczkolwiek oprócz dyrektora, który kieruje sekcją historyczno-polityczną i wicedyrektora, profesora Rafała Taubenschlaga, który kieruje sekcją prawniczo-ekonomiczną, kierownicy sekcyj mieszkają poza Nowym Jorkiem. Sekcja historyczno-literacka i artystyczna, którą kieruje z Harvardu profesor Wacław Lednicki, rozwinęła w ub. roku szczególnie intensywną działalność odczytową. Profesor Świętosławski zorganizował zebrania swojej sekcji nauk ścisłych i stosowanych nietylko w Pittsburghu, gdzie sam stale przebywa, ale także w Chicago. Profesor H. Arctowski, kierownik sekcji oświatowej, mieszkając w Waszyngtonie, ułatwia nam stosunki z tamtejszemi instytucjami.

Za wzorem Akademji tworzymy przy naszych sekcjach komisje specjalne, do których należą także uczeni nie będący członkami Instytutu. Tak np. przy sekcji historyczno-politycznej mamy komisję badania wychodźtwa polskiego w Stanach Zjednoczonych i komisję badania spraw narodowościowych. W sekcji profesora Lednickiego komisja historji literatury polskiej owocnie współpracuje z Kołem Pisarzy Polskich, a komisja historji sztuki i muzyki podzieliła się na dwie podkomisje, które zaprosiły do współpracy naszych artystów przebywających obecnie w Stanach Zjednoczonych. Sekcja profesora Świętosławskiego wyłoniła komisję nauk ścisłych i komisję nauk stosowanych, która w szerokiej mierze wciąga do współpracy techników polskich, oraz powstałą, dzięki inicjatywie profesorki M. Gutowskiej, komisję dla spraw racjonalnego odżywiania.

— Pan profesor wspomniał o Komisji badania wychodźtwa polskiego w Stanach Zjednoczonych. Czy mógłbym w związku z tem zapytać, jaki jest udział Polonii Amerykańskiej w pracach Instytutu?

— Komisja badania wychodźtwa polskiego doskonale się rozwija pod kierownictwem znanego historyka Polonji amerykańskiej, p. Mieczysława Haimana. Ma ona swoją siedzibę w Muzeum Zjednoczenia Polsko-Rzymsko-Katolickiego w Chicago, którego p. Haiman jest twórcą i kustoszem i gdzie się też odbywają regularne zebrania odczytowe komisji. Jej członkowie rozproszeni po całym obszarze Stanów Zjednoczonych projektują zjazd, który niewątpliwie byłby bardzo pożądany. Polonja interesuje się jednak także wszystkiemi innemi sekcjami i komisjami Instytutu, licznie uczeszczając zarówno na odczyty organizowane w Nowym Jorku, jak też na zebrania, które zwołujemy w różnych środowiskach Polonji, jak np. w Chicago, Detroit, Pittsburghu. Współpracę z Polonją, która nam tak bardzo leży na sercu, ułatwiają nam też wybitni jej przedstawiciele, którzy należą do Rady Instytutu. Są to dziekan Świetlik, Prezes Rady Polonji, Gubernator M. S. Szymczak z Federal Reserve Board, profesor T. Abel z Columbia i dr. Edward L. Corwin z New York Academy of Medicine, który brał żywy udział we wszystkich dyskusjach wstępnych, poprzedzających założenie Instytutu.

— Słyszałem, że filje Instytutu w Chicago i w Kanadzie rozwijają ożywioną działalność. Czy pan profesor przewiduje powstanie jakichś nowych odziałów oraz czy Instytut ma już kontakt z uczonymi polskimi, przebywającymi w Ameryce Południowej oraz na Bliskim Wschodzie?

— Oddział Instytutu w Chicago służy przedewszystkiem rozwojowi współpracy z Polonją. Tamtejsze organizacje polskie pomogły nam bardzo wydatnie przy zorganizowaniu naszej "Mid-West Conference, która odbyła się w jesieni ub. roku. Filja w Chicago jest nam jednak także potrzebna ze względu na licznych uczonych amerykańskich, których skupiają cztery tamtejsze uniwersytety. Z analogicznych powodów bardzo byłoby pożądane założenie dalszych oddziałów Instytutu w odległych od Nowego Jorku stanach. Myślę tu przedewszystkiem o Kalifornji, której ośrodki uniwersyteckie zwiedziłem dwa lata temu, stwierdzając żywe a niewyzyskane dotąd zainteresowanie kulturą polską.

Niespodziewanie szybko i pomyślnie rozwija się nasz oddział kanadyjski. Ma on siedzibę w Montrealu, gdzie uzyskaliśmy bezpłatny lokal w głównym gmachu McGill Uniwersity. Rektor tego uniwersytetu i rektor francuskiego "Université de Montreal" przyjęli prezydjum honorowe oddziału, którego kierownikiem z ramienia Instytutu jest prof. Józef Pawlikowski.

Kontakt z uczonymi polskimi przebywającymi w Ameryce Południowej a zwłaszcza utworzenie tam oddziału, względnie oddziałów Instytutu, jest oczywiście rzeczą dużo trudniejszą. Ale kontakt ten już jest nawiązany, o ile chodzi o Meksyk, Venezuelę, Peru a zwłaszcza Brazylję.

Co do Bliskiego Wschodu, to mieliśmy niedawno wiadomość, że paru historyków polskich, którzy się tam dostali z Rosji sowieckiej, przystąpiło do wydawania "Kwartalnika Historycznego na Wschodzie" i prosi o naszą współpracę. Jednego z abonentów naszego Biuletynu, mamy aż w Afganistanie, a pismo to dociera także do Indji, Nowej Zelandji i t. d.

— Z głosów prasy oraz ze sprawozdań, zamieszczanych w Biuletynie, odnoszę wrażenie, że Instytut bierze bardzo czynny udział w rozmaitych imprezach międzyaljanckich, poświęconych zagadnieniom odbudowy kulturalnej Europy po wojnie. Czyby pan profesor nie zechciał scharakteryzować pokrótce działalność Instytutu w tej dziedzinie?

— Jednym z celów Instytutu wyraźnie zaznaczonym w statucie jest praca nad odbudową kulturalną Polski. To też istotnie bierzemy czynny udział we wszystkich poczynaniach międzyaljanckich lub amerykańskich, które zajmują się odbudową czy to instytucyj naukowych czy też organizacją wychowania w Europie. Jeśli chodzi o pierwszą z tych spraw, to wspomnę chociażby o tem, że zarząd Instytutu jest reprezentowany w świeżo z inicjatywy holenderskiej założonej "International University Foundation" z siedzibą w Harvard University, która stawia sobie jako cel gromadzenie środków i materjałów dla zniszczonych uniwersytetów, laboratorjów i bibljotek europejskich. W dziedzinie odbudowy edukacyjnej, w związku z planami Międzynarodowej Organizacji Wychowania, współpracujemy szczególnie ściśle z "Institute of International Education", którego dyrektor dr. Duggan jest członkiem naszej Rady i z "United States Committee of Educational Reconstruction", kierowanym przez prof. R. Schairera, który jest również częstym u nas gościem.

Szczególnie chciałbym jednak podkreślić, że Instytut od początku utrzymuje bliski kontakt z Fundacją Kościuszkowską i jej niestrudzonym dyrektorem, prof. Mierzwą. Czytelnicy Tygodnika Polskiego są już poinformowani o niezwykle pożytecznej działalności tej instytucji, która stara się już teraz konkretnie przygotować pomoc dla polskich zakładów naukowych po wojnie.

—Jeden z naszych poetów nazwał żartobliwie rok ubiegły "rokiem odczytów". Czyby pan profesor nie zechciał powiedzieć, jakie są plany Instytutu w tej dziedzinie na rok bieżący?

— Działalność odczytowa Instytutu ma dla jego rozwoju i dla propagandy naszej sprawy znaczenie niezwykle doniosłe, gdyż odczyty są najlepszą okazją do związania z Instytutem w charakterze prelegentów i uczestników w długich nieraz dyskusjach, coraz to nowych uczonych amerykańskich i wogóle obcych. Bardzo wielu z nich przyzwyczaiło się właśnie w ten sposób zachodzić do Instytutu Polskiego i zapoznawać się bliżej z jego pracą. Z tego powodu nawet niektóre zebrania, na których z niezależnych od nas względów frekwencja była dosyć nieliczna, miały nieraz bardzo doniosłe rezultaty. Na najbliższem zebraniu zarządu, które odbędzie się za kilka dni, zamierzamy opracować dokładny plan naszej działalności odczytowej. Uwzględnimy w nim oczywiście także i odczyty naukowe i literackie w języku polskim, które cieszyły się w roku ubiegłym stosunkowo liczną frekwencją.

Pozatem jednak chcemy rozwinąć w tym roku system t. zw. konferencyj, to znaczy obrad gromadzących w ciągu jednego lub dwóch dni większą ilość prelegentów na tematy stanowiące organiczną całość. Pierwsza pod tym względem próba, mianowicie konferencja poświęcona zagadnieniom odbudowy Polski w dziedzinie odżywiania ludności, urządzona w kwietniu b. r. przez prof. Gutowską, udała się znakomicie. Pozatem projektujemy konferencję poświęconą historji państw i narodów Europy środkowo - wschodniej; nawiązujemy tu do tradycji przedwojennej Federacji Towarzystw Historycznych Europy Wschodniej, założonej w Warszawie dzięki inicjatywie prof. M. Handelsmana, o którego tragicznej śmierci dowiedzieliśmy się niedawno z głębokim żalem. Miesiąc później chcemy urządzić konferencję, na której omawiana będzie rola uniwersytetów w świecie powojennym. Projekt ten wzbudził już duże zainteresowanie w kołach amerykańskich.

— Jest to ogólna opinja, że Biuletyn Instytutu staje się z każdym numerem bardziej interesujący i bogatszy pod względem treści. Niektórzy bardziej wrażliwi humaniści narzekają wprawdzie, że tuż obok pięknych przemówień na tematy historyczne i literackie znajdują w Biuletynie różne wykresy i wzory matematyczne, ale wydaje mi się, że wynika to z samego charakteru Biuletynu, który jako kontynuacja Biuletynu Polskiej Akademii Umiejętności musi być przedewszystkiem kroniką naukową Instytutu, uwzględniającą działalność wszystkich jego sekcji i komisji.

— Taki jest istotnie charakter Biuletynu, który pomyślany jest nie jako zbiór prac naukowych (te wydawane są osobno), lecz jako kronika działalności Instytutu na wzór Biuletynu Akademji, o którym Pan wspomniał, lub "Sprawozdań z posiedzeń, wydawanych przez różne towarzystwa naukowe w Polsce i zagranicą. Być może, że w drugim roczniku Biuletynu zastosujemy pewne drobniejsze zmiany układu, nie sądzę jednak, aby celowem było rozbicie go na części poświęcone różnym naukom. Na taką metodę mogły pozwalać sobie wydawnictwa Akademji w czasach normalnych, ale w naszych warunkach wolimy ograniczać się do wydawania ważniejszych prac drukowanych w Biuletynie w osobnych odbitkach. Tembardziej, że zachodzi obawa, iż rozmiary Biuletynu trzeba będzie ograniczyć ze względów finansowych. Inną naszą bolączką jest niedostateczne rozpowszechnianie się zarówno Biuletynu, jak i innych naszych wydawnictw. To jednak wynagradza nam po części fakt, że Biuletyn zdobywa sobie coraz więcej przyjaciół w sferach naukowych amerykańskich. Właśnie parę dni temu po wydaniu ostatniego numeru otrzymaliśmy cały szereg listów od instytucji i poszczególnych uczonych z wyrazami gorącego uznania dla naszej pracy. Mam nadzieję, że stosunki pomiędzy Instytutem a światem naukowym amerykańskim będą zacieśniały się coraz bardziej..

— Czy planowane są jakieś nowe wydawnictwa w "Polish Institute Series", w której ukazały się ostatnio cenna praca pana profesora o wyprawie warneńskiej oraz ciekawa książka p. Haimana o udziale Kościuszki w wojnie o niepodległość Ameryki?

— Oczywiście planujemy wydanie całego szeregu dalszych tomów w "Polish Institute Series". I tutaj jednak krępują nas trudności finansowe, albowiem prac złożonych lub zgłoszonych mamy tak dużo, że ich druk przekroczyłby ramy naszego budżetu. To też i tę sprawę rozpatrzy dopiero najbliższe zebranie zarządu i wskutek tego mogę wymienić tylko dwie książki, które już się drukują. Piąty tom Serji wypełnią tłumaczenia dzieł Mickiewicza przez prof. Noyes'a, który już poprzednio ogłosił znany przekład Pana Tadeusza. Stary ten przyjaciel Polski z University of California nietylko zaopatrzył te piękne przekłady w obszerną przedmowę biograficzną i cenne objaśnienia, ale przyczynił się też bardzo wydatnie do pokrycia kosztów druku. Następnym, szóstym tomem naszych monografij będzie książka Dr. Władysława Gorczyńskiego, b. Dyrektora Państwowego Instytutu Meteorologicznego w Warszawie. Przeprowadza ona porównanie między klimatem amerykańskim i europejskim, poświęcając sporo miejsca warunkom klimatycznym wybrzeża polskiego.

BOLESŁAW LETYŃSKI

JERZY TEPA

ECHA I WSPOMNIENIA

Wypełniona po brzegi sala Washington Irving High School w New Yorku, mieszcząca zgórą 1600 osób i pokaźna ilość publiczności, stojącej w przejściach, raz jeszcze dowiodły, iż Polski Teatr Artystów zawsze liczyć może nietylko na stałych swych miłośników.

Widowisko "Echa Polskiej Ziemi", dyskutowane tak gorąco w okresie powstawania i prób — osiągnęło pełny sukces dzięki niezwykle starannej selekcji literackich tekstów, rzetelnej pracy i talentom aktorów z prawdziwego zdarzenia. Dyskusja wokół formy spektaklu była gorąca i namiętna—ale twórcza; w jej efekcie pokazano publiczności Mickiewicza i Fredrę, dano jej antologię poetycką powrześniowej emigracji polskiej, Lechonia, Wierzyńskiego, Słonimskiego, Wittlina i Hemara, dramatyczny szkic Cwojdzińskiego, szyllerowskie perełki piosenek z romantycznych dni i nocy pod Blachą i wspomnienia niedawnych lecz już historycznych wieczorów warszawskiego teatrzyku. Widowisko, podzielone na trzy zasadnicze części: barwny kostjumowo "Wieczór Staropolski", arcywesołe "Niedawne Wspomnienia" i patetyczną "Warszawę" — nadspodziewanie spełniło swe niełatwe zadanie; przedstawiając Polonii amerykańskiej trzy diametralnie różne sobie epoki polskiej poezji i polskiego humoru, polskiej brawury i polskiej siły oporu, który w najtragiczniejszym z krajów Europy zahartował dusze jego mieszkańców i pozwolił im zachować uśmiech nadziei, uśmiech wiary w lepsze jutro.

Ten uśmiech wiary w jutro stał się motywem przewodnim wieczoru, nadając mu, mimo wielu momentów szczerego śmiechu widowni, zdecydowany charakter powagi i — co najważniejsze — ów nieuchwytny, ciepły nastrój wzajemnego zbliżenia się sceny z widownią, stał się czemś więcej niż zwykłym tercetem autora, aktora i widza. W smutny dżdżysty wieczór jesienny w obcem mieście, dalekiem od kraju, stworzył atmosferę serdecznej kameralnej rozmowy o wspólnych radościach i troskach, o rodzinie i najbliższych. I to było celem widowiska.



Marja Modzelewska, znakomita interpretatorka staropolskich piosenek.

Po śmiałym debiucie rewją, która nie była rewją i widowiskiem, które wspólnym wysiłkiem postawiono na wyżynie sztuki—Polski Teatr Artystów odnalazł nową drogę, tak gorączkowo poszukiwaną przez ostatnie dwa lata na tutejszym terenie i — może ją jeszcze udoskonalić. Organizatorzy spektaklu sami się może nie spodziewali tego odzewu na widowni, jaki miał wiersz i humor "Ślubów Panieńskich" czy "Dam i Huzarów", wystawianych zwykle "dla honoru domu". To jedna droga.

Druga to fragment sceniczny A. Cwojdzińskiego "Inni Ludzie", skonstruowany przez autora w sposób mistrzowski—bo prosty w swym patosie codziennej rzeczywistości polskiej, pełen olbrzymiego napięcia dramatycznego. Wycinek jednej sceny z życia Warszawy urósł do wielkości symbolu, stał się rachunkiem sumienia wszystkich i każdego ale równocześnie wniósł z sobą kojący moment ofiary i przebaczenia, wywalczonego cichym heroizmem polskich nieznanych żołnierzy, których groby stworzą kiedyś z Polski jedno wielkie Campo Santo Europy.

Trzecią drogą a raczej elementem, łączącym organicznie obie poprzednie i stapiającym je w jedną całość jest umiejętna inscenizacja polskiej piosenki, z której reżyser i muzyk może dziś zrobić daleko więcej niż Beranger, Arystydes Bruant i Salis z francuskiej, może jedną jej zwrotką wywołać wzruszenia daleko czystsze, łzę wymowniejszą, sentymentalny uśmiech bardziej serdecznym. Obojętne czy będzie to stanisławowska frywolna "Bandurka" czy amarantowa, falstaffowska strofa Makuszyńskiego, romantyczne kuplety Hemara czy ludowa ballada lwowskiego murarza—każda znana nam melodia, każdy wiersz zatrzymany przez nas w pamięci, raz jeszcze odbije się echem i to stokrotnie silniejszem niż pięć lat temu po tamtej stronie oceanu.

Osobnym rozdziałem w teatrze jest utwór poetycki, najtrudniejszy scenicznie, bo przeznaczony przez twórców dla jednego czytelnika i słuchacza. Masowość widowni, jej wielokrotność i rozstrzelenie duchowe, wywołane przez kalejdoskopową barwność efektów scenicznych, brak całkowitej zdolności skoncentrowania się i utrzymania na wrażeniu słuchowem, brak chłonności myśli, rymu i rytmu — opanować może jedynie skonstruowanie sui generis ciemnego tła, na którym jedynym punktem świetlnym byłaby głowa aktora. Światło dzienne i przestrzeń kulisów krzywdzą wiersz, bo odejmują mu jego egocentryzm i siłę nastroju. Trzy wstrząsające właśnie swym nastrojem modlitwy "Matka Boska Częstochowska" Lechonia, "Wróć nas do kraju" Wierzyńskiego i "Stabat Mater' Wittlina wymagały zarówno innego, własnego miejsca w programie jak i innej bogatszej, bardziej skoncentrowanej ramy inscenizacji, może nawet tak specyficznej jak połączenia ich w trójgłos na tle krzyża i organów. Modlitw tak subtelnych nie zasyła się na rogu ulicy, której tragizm jest inny, może bardziej wstrząsający lecz głośniejszy.

Organizatorem i reżyserem widowiska był Ryszard Ordyński, który również wziął na swoje barki słowo łączące, więc najtrudniejszą bodaj rolę z całego zespołu. Charakter widowiska o zmiennej skali nastrojów i napięć wymaga specyficznej zdolności transformacyjnej, będącej poza zasięgiem możliwości najlepszych aktorów dramatycznych i nawet artysta tej miary co Osterwa, wielki ale koturnowy, nie zadowoliłby całej widowni; Ordyński jednak umiał ją związać ze sceną, zespolić z autorem i wykonawcą kilku słowami, uśmiechem i gestem, wychodząc z sukcesem z niełatwego i bardzo niewdzięcznego zadania.

SCENA ZBIOROWA Z WIDOWISKA "ECHA ZIEMI POLSKIEJ"



Inscenizacja wiersza K. Makuszyńskiego z muzyką Wł. Eigera "Był raz sobie żołnierz..." (od lewej pp. Wilczówna, Sielański, Nakoneczna, Ilcewicz, Tiche)

Marja Modzelewska była — sobą. Niezrównana interpretatorka starych i nowych piosenek, wstrząsająca w wierszu Hemara, od pierwszego momentu oczarowała salę humorem i wdziękiem, siłą ekspresji i sentymentem wspomnień.

Ewa Barcińska, obok Modzelewskiej i Sielańskiego spiritus movens widowiska, stała się rewelacją wieczoru; grając, śpiewając i rozmawiając z widownią, wykazała nieprzeciętny dar bezpośredniości, wniosła do Polskiego Teatru Artystów nietylko Chopina i piosenkę, ale — i przedewszystkiem — sugestywny, udzielający się wszystkim uśmiech i talent komedjowy, o którym się zbyt mało mówi lecz który się zapewne w przyszłości wykorzysta.

Sielański wystąpił dwa razy — ale dobrze. Jeszcze jeden z aktorów, na którego widownia czeka przez cały wieczór i nie wypuszcza ze sceny. Zasadniczą zaletą popularnego już dziś w Stanach Stasia jest fakt, iż humor ma nietylko w repertuarze. Ma go o wiele więcej w sobie i to w przedniejszym gatunku niż jego dostawcy, co w efekcie każdy jego występ zamienia w jeden wielki i zasłużony sukces. Sekundował Sielańskiemu Ilcewicz, rzetelny aktor charakterystyczny, doskonały zwłaszcza w piosenkach lwowskich typu Ludwikowskiego, obdarzony dużą vis comica i siłą ekspresji, w tem widowisku zamało wykorzystany.

O Karin Tiche trudno mi pisać objektywnie, gdyż już po warszawskim debjucie w teatrze Warneckiego uważałem ją obok Eichlerówny za jedną z najzdolniejszych artystek młodego pokolenia i zdanie to potwierdza się na amerykańskim terenie coraz częściej. Tiche jest aktorką w poszukiwaniu roli, która by jej dała uniezależnienie od obcych wzorów i postawiła na stanowisku, na jakie zasługuje jej zupełnie odrębny typ i klasa talentu dramatycznego.

P. Wilczówna znakomicie rozegrała szkic Cwojdzińskiego, stwarzając jednolitą postać, pełną przekonywującej siły. P. Nakoneczna zachwycała nietylko fragonardowską urodą lecz umiała również podać wiersz z talentem i finezją stylowej artystki. P. Bogdańska, jedna z najmilszych postaci szyllerowskiego teatru i p. Ożarzewska dały mocne w wyrazie i skrystalizowane typy zarówno w scenach kostjumowych jak i dramatyzacji Cwojdzińskiego. Osobne słowa uznania należą się pp. Eigerowej za ilustrację i akompanjament, charakteryzujący się nietylko maestrją instrumentu ale i twórczą inicjatywą i Lorentowicz za dekoracje i stylowe kostjumy fredrowskie. Dekoracje "Wieczoru Staropolskiego", "Niedawnych Wspomnień" a zwłaszcza świetnie ujęta perspektywa ulicy powrześniowej "Warszawy" — dały widowisku oprawę pełną nastroju i wymowy.

Polski Teatr Artystów rozpoczął swój trzeci sezon sukcesem moralnym i kasowym. Polonja amerykańska będzie o tem pamiętać przy drugim spektaklu, na który przyjdzie równie chętnie i równie... tłumnie.



Ewa Barcińska, której debiut w Polskim Teatrze Artystów był sukcesem

ALEKSANDER JANTA

POŻEGNANIE

W oczach odbija się niebo. W oknach przegląda się park
młodości mojej i ziemi. I wszystko jest tak samo.
I tylko róże w klombach czerwieńsze są od warg,
któremi mnie całujesz na pożegnanie, mamo.

I dotąd trwa ta chwila — istnienie intensywne
jak film zerwany nagle, jak zawieszony los,
w cierpnącej ciszy cierpień, we wszystkiem, co przeciwne,
co się obraca w klęskę, w śmiertelny cień — i cios.

Ale jest w sercu żywa choć nieuchwytna moc
wzruszenia poza czasem w ostatnim pocałunku,
zatarło się wspomnienie a budzi się co noc
głuchem przeczuciem świtu, spotkania i ratunku.

Każdą pamiątkę dawną wsi mojej, gwiazd i pól,
Żegna minione życie jak duch — i ta godzina,
co w sobie ma już naprzód cały nasz trud i ból
wszystką tęsknotę matki — i dzień powrotu syna.

ANTONI CWOJDZIŃSKI

W WARSZAWIE

Smutny dzień w smutnej obecnie Warszawie, w bocznej uliczce niedaleko gwarnej "Miodowej". Na tle ruin kamienic stoi warszawska przekupka. Na nogach ma "drewniaki", na plecach starą chustkę, przed sobą rozłożony na ziemi towar. Zachwala go, powtarzając monotonnie:

— Sznurowadła, pasta do butów, sznurowadła, pasta do butów. Sznurowadła czarne, bronzowe . . .

Odległy zegar wybił "pół". Po chwili wchodzi — podobnie w drewniakach i w chustce na głowie — starsza pani. Uśmiechnęły się do siebie jak dobre znajome.

Przekupka: Całuję rączki pani pułkownikowej, całuję rączki. Może sznurowadła? Właśnie dostałam z Krakowa nowe. Mocne, ładne... (wpadła w zaśpiew zachwalania towaru, rozglądając się za innymi klientami a widząc, że jest pusto, niespodziewanie zaczęła cicho) Można, można, nie ma nikogo.

Pani: (szybko podała jej jakiś pakunek — paczka w szarym papierze, owiązana mocnym sznurkiem) Uważnie.

Przekupka: O, ciężkie...

Pani: Schowajcie!

Przekupka: To nie pisma dzisiaj, co? (schowała paczkę między towar a zauważywszy w głębi przechodnia, zaczęła znów głośne zachwalanie) Mam też bronzowe. Mocne, ładne, przywieźli mi z Krakowa. (I znowu cicho) A komu to?

(dalszy ciąg tej sceny robi wrażenie codziennej rozmowy — raz po raz któraś z nich patrzy, czy nikt nie idzie, jedna mówi cicho ale dziwnie dobitnie, a druga powtarza, jakby uczyła się na pamięć—ktoś jednak, patrząc z daleka, nie zauważyłby konspiracji)

Pani: Zapyta o mydło. — Czy nie macie mydła na sprzedaż.

Przekupka: Mydła.

Pani: Powiecie, że o mydło bardzo trudno. Że macie jeden tylko kawałek, ale drogo — cztery złote.

Przekupka: Cztery.

Pani: Odpowie, że dwa tygodnie temu kosztowało trzy pięćdziesiąt ale teraz takie czasy, że nie można się targować — i zapłaci — powoli — po jednym — cztery. Wtedy dacie.

Przekupka: Rozumiem. Dwa tygodnie temu — trzy pięćdziesiąt ale teraz takie czasy, że nie można się targować — i da cztery — po jednemu. Dobra. (rozgląda się) Pasta do butów, sznurowadła... A jak zacznie targ kto inny.. i ja powiem, że mam mydło — a właśnie nie mam?

Pani: Ktoś idzie.

Przekupka: Sznurowadła, pasta do butów... To znajomka. Swoja.

Pani: Macie tu kawałek mydła od wypadku.

Przekupka: (biorąc mydło, podaje jej sznurowadło. Głośno:) Pięćdziesiąt groszaków...

Mania: (młoda dziewczyna, ubrana podobnie jak one. Wchodzi) Dzień dobry, pani Czelikowa.

Przekupka: Dzień dobry pannie Mani. (do Pani) Bardzo mocne. Właśnie dostałam z Krakowa. Taniej nie mogę, paniusiu droga, słowo daję — nie mogę. Żebym taka zdrowa była. Sama płacę czterdzieści pięć a z czegoś żyć muszę.

Mania: A ten, co wiózł z Krakowa nie musi? A kolej droga, a mordęga, a jak złapią Niemcy to cały towar zabierą i jeszcze biją.

Pani: (westchnęła) Ja wiem, wiem... ale nie stać mnie. Co robić... Do widzenia pani.

Przekupka: Do widzenia paniusi, całuję rączki. Niech Bóg prowadzi. Do widzenia. (Pani odchodzi. Mania patrzy za nią wojowniczo i rozpoczyna tonem "pyskówki".)

Mania: Co robić? A boso chodzić, jak nie ma na sznurowadła! Pani pułkownikowa!

Przekupka: E! Wstydź się panna Mania! Bój się kary boskiej! Bieda przyszła na tę inteligencję okropna, jeszcze gorsza jak na nas, to trza mieć trochę serca!

Mania: A ona miała serce, jak się jej dobrze wiodło? Obchodził to ją kiedy biedny człowiek? Akurat! Ja ją znam! Noc w noc nic, tylko te goście i karty! A jak nie — to sama na wizytę! A nigdy inaczej jak taksówką. Ja wiem, bo to naprzeciwko. Fortepian przegrała w te karty! Fortepian! Ja wiem, bo Felka brała do pomocy, jak wynosili od niej!

Przekupka: Przestań już panna Mania i nie gadaj głupstw.

Mania: Co pani?...

Przekupka: Bo jak panna Mania musi obszczekiwać, to niech se znajdzie inną ofiarę — ale tej ja nie pozwolę!

Mania: A cóż to pani Czelikowa tak ją broni? Przez co tak za nią obstaje?

Przekupka: Już ja wiem przez co! Ja sama nie raz na nią pyszczyłam a dziś... dziś w rękębym ją całowała!

Mania: Bo co?

Przekupka: Chce panna Mania wiedzieć? To niech się dowie... To ona właśnie te.. (kończy na ucho).

Mania: Niemożliwość! (rozmowa staje się cicha i poufna)

Przekupka: A tak! Te pisma, co odemnie panna Mania brała, to ona! A tak! Teraz panna Mania wie?

Mania: Boże, Boże... Nigdybym się nie spodziała!... Co się to z tymi ludźmi dzisiaj porobiło! To ona pani te pisma?.. Ja widziała, jak ona pani coś dawała.

Przekupka: E! Mydła kawałek mnie dała, żebym jej sprzedała. Dziś żadnych pism nie przyniosła. Ale czasem to przychodzi taka obładowana, jakby karmiła! Niech ją Pan Bóg ma w swojej opiece, bo jakby ją złapali...

Mania: Ta chyba, że niech ją ma! Jaka ta ona była taka była, ale dzisiaj — masz pani rację — w rękę taką całować. Nie można dzisiaj na nikogo złego słowa powiedzieć, bo niewiadomo jaki kto teraz. Nie jeden się zmienił.

Przekupka: — Nie "nie jeden" a "każden jeden". (ton "pyskówki" wraca) Ona — to święta kobieta ale on, ten mąż, pułkownik...

Mania: A teraz to znowu ja pani powiem, że takbym nie powiedziała.

Przekupka: Bo wiadomo, że panna Mania będzie zawsze tych portków bronić! A nie wstyd to, żeby taki mężczyzna, na takim stanowisku co wieczór do kabaretu po tancerkę zajeżdżał — a rodzoną żonę opuszczał?!....

Mania: Ale bo jak się w niej zakochał...

Przekupka: To musiał zaraz w bieliźnie po balkonie ją ganiać?

Mania: Jak miał taki temperament...

Przekupka: To musiał ten temperament na balkon wynosić?

Mania: Pewnie, że nie musiał, ale... — jaki ta był taki był i czy miał ten temperament na balkonie czy nie — ale Warszawy bronił i ranny był i mało życia nie postradał — a dzisiaj w niewoli, to nic złego o nim nie godzi się mówić!

Przekupka: (charakter rozmowy zmienia się) Co? To on w niewoli? A mówili, że uciekł zagranicę....

Mania: Paczki jemu do Stalagu wysyła ten sędzia, co u nas w piwnicy mieszka, bo to byli przyjaciele!

Przekupka: Jak on w niewoli, to nic o nim złego... Jaki był taki był ale dzisiaj on męczennik.

Mania: Ona, ta tancerka, to ścierwo!

Przekupka: O! Tu to się z panną Manią zgodzę! O tej małpie to słuchać nie mogę!

Mania: Ta to nawet taksówką nigdy nie pojechała, ino kazała jemu auto sobie sprawić! I to jakie! Ze szoferem!

Przekupka: Nie mów panna Mania o niej, bo mnie zatyka!

Mania: Tej to nikt jeszcze nie widział w chustce na głowie a ino co raz ładniejsze kiecki wyciąga! Nikt jej nie widział w drewniakach na nogach ino..

Przekupka: (w najwyższej pasji) Powiadam, nie mów panna Mania o niej, bo mnie szlag trafi!

Mania: To o czym człowiek ma mówić? Ta święta, a ten męczennik, a ta znowu taka, że panią szlag trafi! To co człowiek ma robić, jak o nikim nie może złego słowa powiedzieć?!

Przekupka: Szlag mnie trafia, bo panna Mania nie wiesz co!

Mania: Co?

Przekupka: Aż wstyd powiedzieć! Widzieli ją... z Niemcami!

Mania: Co?....



PANI: Schowajcie!
PRZEKUPKA: To nie pisma dzisiaj, co?
(od lewej pp. Tiche, Bogdańska, Ożarzewska)

Przekupka: (pauza, rozmowa znowu cichnie — nienawiść odbiera głos) Jeden... taki z Gestapo, to.... auto zatrzymuje, żeby się z nią uwitać! że się taka kary boskiej nie boi!

Mania: że się najpierw ludzkiej nie boi! Bo jak wrócą nasi...

Przekupka: Nie powinni czekać aż wrócą! Podziemny wyrok na taką i... i ja samabym własnoręcznie cegłą ją po głowie...

Mania: No chyba! Jaby jeszcze pani podała tę cegłę!

Przekupka: I sam Pan Bóg z jasnego nieba by mnie błogosławił!

Mania: Pewnie!

Przekupka: Takiej to się jeszcze prędzej należy jak niejednemu Niemcowi.

(zegar bije "trzy")

Mania: (nagle) Czekaj pani Czelikowa... Bo ja zapomniałam, z czem do pani przyszłam....

Przekupka: No?

Mania: (cicho) Mają dzisiaj znowu jednego sprzątnąć.

Przekupka: Niemca?

Mania: Jak będzie jechał do biura — mają mu bombę puścić do auta.

Przekupka: O!..

Mania: I to zaraz już, bo on zawsze równo o dziesiątej jedzie do biura na Miodowej. To lepiej zabieraj pani swój towar i wiejmy stąd zawczasu.

Przekupka: Masz panna Mania rację. Jak obstawią ulice i zaczną łapankę, będzie późno. (zbiera z ziemi swój towar) A skąd panna Mania wie?

Mania: Przez całą noc majstrowali to wczoraj w naszej piwnicy. Trzy niemieckie handgranaty razem zmontowali i nic nie zostanie z auta, mówili.

Przekupka: To ten sędzia, co zamykał Felka?

Mania: I Felek, co okradł sędziego! A dzisiaj razem jak bracia rodzeni!

Przekupka: Co się to z tymi ludźmi porobiło! I kto ma to to rzucić?

Mania: Kto — to nikt nie wie. Wiadomo tylko, że z tego nie wyjdzie..

Przekupka: O Jezu.... Jak takich nie pomianują świętymi, to słowo daje.... noga moja więcej w kościele nie postoi!

Mania: No chyba! Ale chodźmy już, chodźmy, pani Czelikowa..

Przekupka: Oj, Boże, Boże, żeby się tylko udało! Bo jak z taką bombą przystąpi do auta?....

Mania: To całkiem mała paczka! W szary papier zawinięta i sznurkiem obwiązana —i nikt nie powiedziałby, że w niej takie piekło siedzi.. Chodźmy już, bo zaraz dziesiąta..

Przekupka: Czekaj, panna Mania.... Jak to jest? Szary papier i sznurek?

Mania: Wygląda całkiem jakby ze sklepu— — mydło albo co.... Ino że ciężka, bardzo ciężka. No, chodźmy już....

Przekupka: (z niespodziewaną decyzją)— Nie.

Mania: Co — nie?

Przekupka: Ja się tu zostanę.

Mania: Na co?

Przekupka: Muszę.

Mania: Czego?

Przekupka: Muszę, bo muszę i już!

Mania: Co pani?... Pani Czelikowa! Potem będzie łapanka a pani...

Przekupka: Cicho.... Ktoś idzie.

Mania: Zaraz.... (wyjrzała i wraca) To ona! Ta tancerka od pułkownika!

Przekupka: Tancerka?

Mania: Przed taką trza się pilnować! Rozkładaj pani towar z powrotem, żeby nie widziała, że wiejemy!

Przekupka: Nie będę z małpą handlowała! Ja nie wytrzymam, ja cegłą po głowie..

Mania: E! Pani Czelikowa... W jasny dzień?

Przekupka: Widzisz ją jaka wystrojona! Jakby na dancing szła!

Mania: Pewnie idzie spotkać się ze swoim Niemcem!

Tancerka: (młoda dziewczyna, wystrojona i wymalowana, wchodzi nucąc wesołą piosenkę. Uśmiechnięta rzuciła okiem na towar) Dzień dobry! Co tam macie na handel?

Mania: (chcąc wobec milczenia Przekupki ratować sytuację) I.... Co ta za handel! Sznurowadła, pasta do bucików — i to wszystko.

Tancerka: Mydła, matka, nie macie?— (Przekupka opryskliwie ruszyła ramionami)

Mania: (do Przekupki) Ma pani jeden kawałek, nie?

Przekupka: Ja?.... A.... jeden kawałeczek mam.... ale to takie.... O!

(Tancerka skrzywiona oddaje mydło).

Mania: Dziękować Bogu, że takie jest. Nie takie czasy, żeby się pachnić.

Tancerka: Nie macie większego? Dwa tygodnie temu.... (wobec milczenia Przekupki zaczyna mówić znacząco) tak — dwa tygodnie temu płaciłam.... trzy pięćdziesiąt. (znów lekko — do Mani) Ale to był duży i ciężki kawałek.

Przekupka: (zdumiona, bez głosu) O Jezu...

Tancerka: Nie macie większego kawałka?

Przekupka: Mam.... ale drogo.... Bardzo drogo. Dziś trudno o mydło.

Tancerka: Ile?

Przekupka: Cztery złote....

Tancerka: Co robić.... Dziś takie czasy, że nie można się targować, prawda? Niech będzie cztery. Trzymajcie, matka. (płaci, podając po jednym) Raz, dwa, trzy, cztery.

(Przekupka wzruszona podaje jej szybko pakunek)

Mania: (poznała paczkę przygotowaną w piwnicy) O Jezu....

(Tancerka na chwilę smutno zamyśliła się, gdy jednak zobaczyła oczy ich pełne łez, uśmiechnęła się, schowała paczkę do swej torebki i odeszła, nucąc swą wesołą piosenkę..

Kurtyna

POPRZEDNI (42, 43, 44) NUMER TYGODNIKA POLSKIEGO wydany w języku angielskim poświęcony był bohaterskiej Warszawie.

OPINJE I ZDARZENIA



ZOFJA KOSSAK

Znakomita autorka "Krzyżowców", głośnej powieści z czasów wypraw krzyżowych, Zofja Kossak-Szczucka, jest pierwszym pisarzem polskim, który w czasie wojny zdobywa amerykański świat czytelniczy dla naszej literatury. Powieść Szczuckiej o Św. Franciszku, znana w Polsce pod tytułem "Bez oręża", przetłumaczona na język angielski przez R. Langerową, została nabyta przez "Book-of-the Month Club" i ukaże się w ilości 400,000 egzemplarzy.

W ODPOWIEDZI NA ARTYKUŁ W "NEWSWEEK"

W "Newsweek" z dnia 11-go października b. r. ukazał się artykuł Raymond'a Moley'a, pełen fałszów i obraźliwych dla Polski twierdzeń. W odpowiedzi na ten artykuł Ks. S. A. Iciek skierował do autora list, który niniejszem publikujemy.

Dear Sir:

With a great deal of interest I read your views on "The Polish Problem" in the October 11 issue of "Newsweek".

Your solution is probably in line with the settlement of the Polish problem after the first World War.

As to the eastern frontiers of Poland, you state, "'Indisputably' Russian populations were included in pre-1939 Poland". Historically speaking, the White Russians in question who occupy the eastern borders of Poland — and for whom Mińsk was the capital — were a part of Poland much longer than they were a part of Russia. The majority of them is Roman Catholic and they speak a language more akin to Polish than to Russian. Furthermore, Russia is far from being a homogenous nation. It is rather a conglamoration of national and racial groups. Some of the "Russians" are Slavs, others are Mongols, Tartars, Yakhuts and other tribes. So, I see no reason why Russia, or you, should consider the White Russians as "Russian population."

You state, "The Vilna section, with many Poles, was taken for strategic purposes".

You give the eastern section of Poland — with many White Russians — to Russia for "ethnological reasons" and at the same time you justify Russia's occupation of Vilna — with many Poles — by holding that Russia needs this district for "strategic reasons". With such reasoning every grab made by Russia, or by Germany, or by Japan, can be neatly justified — something to which the Atlantic Charter is in direct opposition.

The two closing paragraphs of "the Polish Problem" are unworthy of a man of your standing and mental calibre. You claim that "In re-creating the Polish state, firm provision must be made to protect Jewish minorities". I thought serious-minded people had long since forgotten such nonsense. Every state has laws to protect all its citizens and demands that all obey those laws. Poland likewise wants all its citizens to have equal rights and share equal responsibilities. Would you want the United States to have special laws and privilages for Jews? Would you refuse the same rights and privileges to our Negroes? I was born in Michigan, Mr. Moley, and studied in Detroit for a number of years, but I am not proud of the treatment Detroit gave the Negro last summer. You will find nothing of that kind had ever happened in Poland.

After the first World War it was the Germans, through their Wolfe Agency, who carried on a "pogrom" propaganda campaign against Poland. The Allied Nations at the time sent a commission to Poland to investigate this matter and found these reputed "pogroms" to be pure fabrications.

There is one historical fact which you overlooked, Mr. Moley, and that is this: that in the XIV century, when the Jews were being ruthlessly persecuted in other European countries, Poland received them. For two hundred years the Jews in Poland held their own synods and councils. Furtheremore, the Jews in Poland had their own courts where their trials were held and whenever there was a court case involving a Jew and a Christian, judges from both parties sat at the trial.

Furthermore, recent events that took and are taking place in Poland where both the Jews and the Poles went to the aid of the Jews. Across the wall around the Jewish ghetto the Poles were and are smuggling baskets of food, medicine, and clothing to the Jews. That alone speaks for itself. There are many very fine Polish patriots of Jewish faith and they are respected and loved just as much as those of Christian faith.

In your final paragraph of "The Polish Problem" you make a statement that is an insult to a cultured nation like Poland. You suggest that Russia, who stabbed Poland in the back, should now be one of the overseers of Poland. Why, and on what grounds? Has not and is not Poland giving ample proof of tolerance, loyalty to its treaty obligations, courage, and heroism beyond description?

Mr. Moley, stop and think and draw your own conclusions from your own preposterous statements. Always bear in mind that —might is not right.

Sincerely,
Rev. S. A. Iciek.

PRAWDA O FASZYZMIE

Tygodnik "The New Yorker" a za nim popularny miesięcznik "The Reader's Digest", piętnując w artykule "Facts about Fascists" niedopuszczalne metody obdarzania niewygodnych przeciwników politycznych mianem "faszystów" — piszą:

"We are sorry to see this misuse of the word "Fascist". If we recall matters, a Fascist is a member of the Fascist party or a believer in Fascist ideals. These are: a nation founded on bloodlines, political expansion by surprise and war, murder or detention of unbelievers, transcendence of state over individual, obedience to one leader, contempt for parliamentary forms, plus some miscellaneous gymnastics for the young and a general feeling of elation ..

...It's too bad to emasculate the word "Fascist" by using it on persons, whose only offense is that they vote the wrong ticket, The word shrould be saved for use in cases, where it applies..."

Artykuł należy koniecznie przetłumaczyć na polskie....

"COLLIER'S" O POLSCE

Jak to kilka miesięcy temu przewidywaliśmy, po rozproszeniu się czadu wrogiej propagandy Polska ma teraz coraz lepszą pozycję w opinji prasy amerykańskiej. Wierzyliśmy że tak stać się musi, gdyż w zdrowej i uczciwej atmosferze amerykańskiej prawda musiała prędzej czy później wyjść na wierzch. Dziś na służbie wrogiej Polsce propagandy pozostają tylko pisma o wyraźnem obliczu politycznem, pisma, co do których tendencji nikt nie ma złudzeń.

Zaraz na początku listopada możemy zanotować dwie ważne i niesłychanie dla nas miłe pozycje prasowe. Wielki magazyn ilustrowany "Collier's" ogłosił w dwuch kolejnych numerach (30-go października i 6-go listopada) artykuł George Creel'a pod tytułem: "Revenge in Poland". Jest to niezwykle dramatyczna opowieść o walce podziemnej w Polsce, spisana na podstawie sprawozdania jednego z przywódców tej walki, który przyjechał do Stanów Zjednoczonych. Artykuł ten, ilustrowany rysunkami, jest szczerym hołdem złożonym bohaterskim bojownikom w Kraju. Opowiadanie Creel'a jest zaanonsowane wielkimi literami na okładce magazynu. Proponujemy, by Polacy w całej Ameryce zwracali się do redakcji "Collier's i zamawiali sobie wymienione dwa numery. Adres: 250 Park Avenue, New York 17, N. Y.

Równocześnie listopadowy numer "The American Mercury" na podstawie tych samych źródeł ogłosił artykuł Leon Dennen'a pod tyt: "Inside Poland Today".

NAJWIĘKSZE OSZUSTWO ŚWIATA

W listopadowym numerze "Reader's Digest" ukazał się artykuł Roberta Gilbert Vansittarta, byłego wysokiego urzędnika angielskiego ministerstwa spraw zagranicznych i głośnego autora prac, demaskujących bezlitośnie barbarzyństwo i cynizm polityki niemieckiej.

W wymienionym artykule autor za pomocą cyfr wykazuje, jak Niemcy po ostatniej wojnie świadomie oszukiwali świat, aby uchylić się od zapłaty wyznaczonych przez traktat Wersalski odszkodowania.

Suma odszkodowania była ustalona na 6600 miljonów funtów szterlingów, co jednak nawet w czwartej części nie pokrywało szkód wyrządzonych przez wojnę krajom aljanckim. Mimo to na przestrzeni kilku lat Niemcy spłacili tylko 1038 miljonów funtów szt. z czego tylko 253 miljony w gotówce. Sama odbudowa północnej Francji kosztowała 830 miljonów, inne zaś kraje jak Belgja i Polska nie otrzymały grosza.

Niemcy narzekały, że są kompletnie zrujnowane, że nie mogą płacić zobowiązań i podczas gdy kraje aljanckie musiały własnym kosztem odbudowywać zniszczone obszary wojenne, Niemcy wydały na swoje nowe zbrojenia 8000 miljonów funtów szt., osiem razy tyle ile zapłaciły tytułem odszkodowań.

Za pomocą perfidnie wywołanej inflacji w roku 1923 Niemcy za jednym zamachem pozbyły się wszystkich długów wewnętrznych, podczas gdy Anglja uginała się pod ciężarem długów w sumie 7000 miljonów funtów, a Francja 250,000 miljonów franków. Dochód społeczny Niemiec w latach od 1924 do 1939 był o 75 procent wyższy niż przed wojną za czasów Wilhelma Ostatniego.

Nic dziwnego przeto, że Niemcy byli w stanie rozbudować i zmodernizować swój przemysł, a "biedne, zrujnowane" Niemcy były wtedy w rzeczywistości najbardziej prosperującym krajem w Europie.

Mimo, że wykręciła się z odszkodowań, pozbyła się długu wewnętrznego i powiększyła tak znacznie swój dochód społeczny, republika wejmarska pobiła wszystkie rekordy w uzyskiwaniu pożyczek zagranicznych. Od swoich dawnych nieprzyjaciół otrzymała 1500 miljonów funtów szterlingów w gotówce i kredycie towarowym, sześć razy tyle, ile zapłaciła odszkodowań. Pierwsze pożyczki otrzymał niemiecki przemysł zbrojeniowy, a więc Krupp 10 miljonów, Thyssen 12 miljonów, mimo że właśnie te dwa przedsiębiorstwa przyczyniły się do wojny.

Jest to jeden z najniewiarogodniejszych wypadków w historji ludzkości, że państwo pobite nietylko nie zapłaciło odszkodowań za swe zbrodnie, lecz nawet zarobiło na klęsce olbrzymie sumy, podczas gdy zwycięzcy, tknięci ślepotą, płacili bez końca, uginając się pod ciężarem kryzysu ekonomicznego i uzbrajając przeciwnika do nowej napaści.

PRZYJACIÓŁKA POLSKI W KANADZIE

Adrey Alexandra Brown znana poetka kanadyjska wydała nakładem firmy Mac Millan and Company w Toronto zbiór poezji p. t. "Challenge to Time and Death".

Zbiór ten zadedykowany "Nieśmiertelnej sławie narodu polskiego" zawiera m. in. piękny poemat o Szopenie, poświęcony obronie Warszawy.

Autorka przyczyniła się do uzyskania zgody rządu prowincji British Columbia do nazwania jednego ze szczytów w Górach Skalistych imieniem "Mount Warsaw". — Widok tego szczytu maluje teraz Rafał Malczewski, znany malarz polski, przebywający obecnie w Kanadzie.

POLSKI INSTYTUT NAUKOWY

W związku z inauguracją oddziału kanadyjskiego Polskiego Instytutu Naukowego odbyła się dnia 29 października piękna uroczystość w uniwersytecie McGill w Montrealu, w obecności rektora Cyrila James i Monsieur Marualt, rektora Uniwersytetu Francuskiego. Przemówienie inauguracyjne w języku angielskim, francuskim i polskim wygłosił dyrektor Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku p. Oskar Halecki.

POLSKIE KOŁO LITERACKIE W AUSTRALJI

Garstka uchodźców polskich w Sydney założyła koło literackie, urządzając perjodyczne "Wieczory Polskie". W związku z pierwszą rocznicą działalności koła, ukazała się 26-cio stronicowa jednodniówka, zawierająca poza słowem wstępnem konsula generalnego min. Sylwestra Gruszki, interesujące prace literackie członków koła. Na treść jednodniówki składają się następujące pozycje: Zygmunt Przybyłkiewicz: Noblesse oblige" — Alfred Cymerman: "Wizyta" — Henryk Gostyński: "Wśród tych, którzy rozsławiają imię Polski" — Fryderyk Goldschlag: "Śmierć Chopina". — Leopold Muszkat: "Tęsknimy za muzyką polską" — Ryszard Krygier: "Szanghaj" — Artur Sternhill: "Gatunek przetrwa" — "Dyliżans".

Cieszymy się, że nawet na dalekiej wyspie australijskiej kult polskiego słowa i polskiej kultury jest żywy.

ODCZYT REKTORA O. HALECKIEGO

Stowarzyszenie Prawników Polskich w St. Zjedn. zawiadamia, że w piątek dn. 12 listopada o godz. 8 wiecz. odbędzie się w siedzibie Stowarzyszenia, 151 E. 67 St., wieczór dyskusyjny na którym Rektor Oskar Halecki wygłosi odczyt na temat: — "Rola inteligencji w Polsce".

WYKŁADY PROF. LEDNICKIEGO W BOSTONIE

Istniejąca przeszło sto lat instytucja naukowa "The Lowell Institute", jedna z najpoważniejszych instytucji wykładowych w Stanach Zjednoczonych ogłasza serję ośmiu wykładów prof. dr. Wacława Lednickiego, p. t. "Życie i kultura Polski w literaturze polskiej".

Prof. W. Lednicki, mówić będzie na następujące tematy: 1. Interpretacje Historji Polskiej; 2. Ideały Polityczne; 3. Religja i Życie Narodowe; 4. Szlachta i Lud; 5. Adam Mickiewicz, narodowy poeta polski.

Dwa ostatnie wykłady p. t. "Wyrwani z korzeniami" omawiać będą między innemi cechy polskiego charakteru.



Najstarszy żołnierz polski rozmawia z najmłodszym. (Wódz Naczelny, gen. Sosnkowski wśród junaków)

KONCERT WANDY LANDOWSKIEJ

W sobotę dnia 6-go listopada o godzinie 3-ej po poł. odbędzie się w Town Hall w Nowym Yorku. Koncert największej wirtuozki klawesynu Wandy Landowskiej. Wielka artystka polska odegra na klawesynie utwory Padelbel'a (1653-1706), Bacha (1685-1750) i Scarlatti'ego (1685-1757) oraz na fortepianie Sonatę D-dur K.576 Mozarta (1756-1791).

ODCZYT PROFESORA J. HAMMERA W INSTYTUCIE NAUKOWYM

Na posiedzeniu odbytem w dniu 25-go października w Instytucie Naukowym (pod przewodnictwem profesora R. Taubenschlaga) wygłosił profesor Jakób Hammer (Hunter College) odczyt pod tytułem "Źródła i tradycja krytyczna tekstu Geoffrey of Monmouth's "Historia Regum Britanniae".

W odczycie tym przedstawił prelegent, opierając się na bardzo bogatym materjale rękopiśmiennym dotąd zupełnie nieznanym, iż podstawą historji Geoffrey'a były liczne podania i legendy starożytne, które autor odpowiednio przerabiał zmieniając nazwiska dotyczące bohaterów i motywy ich działania. Prelegent między innemi wskazał podanie, które stanowiło podstawę dramatu Szekspira "O Królu Learze". Zaciekawienie wywołały wywody prelegenta, odnoszące się do wpływu, jaki historja Geoffrey'a wywarła na Kadłubka, o którym wiadomo, że studjował w Paryżu, gdzie zapewne zaznajomił się z tą historją. Niemniej interesujące było wskazanie metody, jaką Kadłubek zastosował w przerobieniu opowiadania Geoffrey'a o cesarzu rzymskim Klaudjuszu, który rzekomo wydał swoją córkę za angielskiego księcia. Kadłubek przerobił to opowiadanie mówiąc, że Juljusz Cezar wydał swoją córkę za polskiego księcia. W końcu prelegent wyjaśnił, że metoda przerabiania źródeł starożytnych w celu gloryfikowania historji własnego narodu była metodą przyjętą powszechnie w średniowiecznej Europie.

Odczyt prof. Hammera, wygłoszony z niezwykłą swadą i w pięknym, literackim języku angielskim, wywołał ożywioną dyskusję w której zabierali głos Dr. Lewin i prof. R. Taubenschlag. Ten ostatni wskazał, że inne dzieło Geoffrey'a "Proroctwa Merlina" wpłynęły na kazania Ks. Skargi.

Z TEATRU AMERYKAŃSKIEGO

Sezon teatralny 1943-44 na Broadway'u jest jednym z najlepszych w historji teatru amerykańskiego, czego widocznym dowodem jest fakt, iż w chwili obecnej ani jeden gmach teatralny w tej dzielnicy nie jest wolny a szereg sztuk wraz z zakontraktowaną obsadą oczekuje na swoją kolejkę. W niektórych teatrach bilety otrzymać można dopiero na ...styczeń 1944 r.

Ostatnio wznowiono słynną sztukę Roberta E. Sherwooda "The Petrified Forest" z Ronaldem Alexandrem i Barbarą Joyce. Z dużem zaciekawieniem oczekuje się sztuki debjutantki Rose Franken "Outrageous Fortune", w której wystąpią dwie znane artystki filmowe: Elsie Ferguson i Maria Ouspenskaya.

Wreszcie wystawiono "reportaż wodewilowy" silnie reklamowanej tancerki Gypsy Rose Lee, oparty na własnych przeżyciach: "The Naked Genius", który uzyskał niezaszczytną nazwę "najgłupszej sztuki", jaka kiedykolwiek szła na Broadway'u; Wolcott Gibbs stwierdza w swej recenzji, iż "jedynie występująca w sztuce małpa ma zaufanie do tekstu..." Mimo to sztuka ma zapewnioną frekwencję na długie miesiące, co świadczy o charakterystycznym głodzie teatru i rosnącej tęsknocie do żywych aktorów.

NAZWA BOMBOWCA

Więźniowie w San Quentin w Kalifornji zebrali przeszło 100 tysięcy dolarów na bondy wojenne. W nagrodę pozwolono im wymyślić nazwę dla jednego z nowych bombowców. Po długich naradach delegacja więźniów zakomunikowała swoją decyzję. Bombowiec ma się nazywać "Czek bez pokrycia".

Gdy ich zapytano, skąd ta dziwna nazwa, odpowiedzieli: — Czek bez pokrycia zawsze powraca i nigdy nie ginie.

MISTYFIKACJA

Nazwiska niemieckich komentatorów wojskowych generała Kurta Dittmara i kapitana Ludwika Sertoriusa są powszechnie znane, ponieważ prasa całego świata cytuje ich często jako wyraz opinji niemieckich sfer wojskowych. Jak wiadomo, w ostatnich czasach ich poglądy na sytuację strategiczną Niemiec bywają dość pesymistyczne. Obecnie donoszą ze Sztokholmu, że pod nazwiskiem Dittmara kryje się jakiś nieznany lektor, który odczytuje tylko prace wielu niemieckich pisarzy wojskowych ze sztabu armji. Dotyczy to również Sertoriusa; wskazuje na to nawet nazwisko, gdyż Sertorius był sławnym rzymskim generałem, który w roku 102 przed Chr. walczył z Mariuszem pod Aix. Amerykański korespondent Louis Lochner, który przeszło dwadzieścia lat przebywał w Berlinie, powiedział, że nigdy nie słyszał o tych dwóch wojskowych przed wojną.

GILBERT KEITH CHESTERTON

Genjalny pisarz angielski G. K. Chesterton, autor stu powieści, nowel, poezji, sztuk dramatycznych i biografji, był zarazem dziwakiem słynnym w całej Anglji. Ten grubas ważący do 400 funtów był romantykiem niepoprawnym, zakochanym w średniowiecznych balladach rycerskich i romansach awanturniczych a przedewszystkiem ironistą o dowcipie lotnym i ostrym, niewyczerpanym w sypaniu błyskotliwymi paradoksami. Bernard Shaw, z którym przez całe życie krzyżował szpadę polemiki i złośliwości, powiedział o nim na wiadomość o jego śmierci: "Był to człowiek o kolosalnym genjuszu."

Chesterton nosił stale laskę z ukrytą szpadą a w zanadrzu płaszcza ogromny składany nóż. Ale trudno byłoby wyimaginowanym napastnikom znaleźć go, skoro on sam najczęściej nie wiedział, gdzie się znajduje. Idąc do redakcji, nieraz kupował na ulicy egzemplarz swego własnego tygodnika, by w nim odczytać adres redakcji, którego zapomniał. Kiedyś telegrafował do swojej żony: "Jestem na Harborough Market. Gdzie powinienem teraz być?" Do reguły niemal należało, że na szyli miał zawiązane dwa krawaty naraz.

DWIE STRONY MEDALU

Przez długi czas w opinji francuskiej panowała rozbieżność poglądów odnośnie osoby wodza, który wygrał pierwszą bitwę nad Marną. Jedni twierdzili, że bitwę wygrał marszałek Joffre — inni temu zaprzeczali. Joffre, zapytany przez dziennikarzy kto — jego zdaniem — jest właściwym zwycięzcą, odpowiedział:

— Nie wiem. Ale gdyby ta bitwa była przegrana — cała hańba spadłaby na mnie.

WARUNKI POKOJOWE

Gdy w r. 1918 niemiecka delegacja została przyjęta przez Foch'a dla odebrania warunków pokojowych, marszałek Francji wziął z biurka akt i odczytał go głośno

Delegacja niemiecka osłupiała. Wkońcu jeden z generałów niemieckich odezwał się zduszonym głosem:

— Panie marszałku, to niemożliwe, by jakikolwiek cywilizowany naród mógł postawić tak ohydnie nieludzkie warunki pokojowe drugiemu!

Foch się uśmiechnął dobrodusznie:

— Słusznie. I cieszy mnie pańska odpowiedź. To są warunki, postawione przez niemieckiego gubernatora miastu Lille po jego poddaniu się. A teraz przejdźmy do naszych warunków...

CZESKA PROPAGANDA FILMOWA

Ruchliwa propaganda czeska zręcznie i zapobiegliwie sugeruje producentom filmowym coraz to nowe opracowania Lidic.

Po "Hitler's Madman", "Hangmen also die" i "Hostages" powstaje nowy film, opiewający patetyczną wielkość bohaterstwa czeskiego "The Silent Village". Obraz kręci się tym razem na terenie Wielkiej Brytanji "with the cooperation of the Czechoslovakian government-in-exile". Film jest fantastyczną transpozycją tragedji lidickiej na terenie małego miasteczka w Walji.

W Polsce zrównano z ziemią zgórą 384 wsi i rozstrzelano jej mieszkańców — żadna jednak z polskich Lidic nie znalazła uznania w oczach producentów. Zachodzi pytanie, czy wina leży tylko i wyłącznie po stronie producentów?

REKORD.

W oknie swego mieszkania w Chicago wywiesiła 43-letnia Frances Evans Dyke "service flag" z jedenastoma gwiazdami. Zaciekawieni niezwykłą ilością gwiazd reporterzy chicagowscy stwierdzili, że pani Dyke ma w armji 11-tu synów: trójkę 29-letnich trojaczków w lotnictwie na Południowym Pacyfiku, dwie pary bliźniaków po 28 i 26 lat w piechocie morskiej, trzecia para bliźniaków 24-letnich jest w armji lądowej, wreszcie najmłodsi 21-letni i 19-letni służą w armji i marynarce. Niezależnie od 11-tu synów, służących w armji Wuja Sama — pani Dyke "dorzuciła sobie" w drugiem małżeństwie jeszcze czterech synów, z których najmłodszy przyszedł na świat tego roku.

Frances Dyke wyszła zamąż, mając 13 lat; jej mąż miał wtedy 25 lat. W cztery lata po ślubie zginął w czasie wypadku na kopalni i pani Dyke wychowała sama 11-tu synów, utrzymując ich z pracy własnych rąk.

Dyke modli się codzień za swych synów — jak stwierdziła wobec przedstawicieli prasy — "...nie, by oszczędzone im były trudy i znoje wojenne — ale by stali się godnymi ojca, który walczył za Amerykę w czasie pierwszej wojny światowej".

OFIARA POSTĘPU

Wielkie towarzystwo linji autobusowych Greyhound Bus Comp. stara się już teraz o licencję na 78 linji komunikacyjnych helikopterów, jak wiadomo, samolotów, które za pomocą śmigła horyzontalnego mogą poruszać się naprzód, w tył, pionowo, mogą stać nieruchomo w powietrzu i lądować prostopadle w dowolnych szybkościach. Na posiedzenie Civil Aeronautics Board w Waszyngtonie wysłano Raymonda Loewy, inżyniera samolotowego, który miał bronić projektu. Z olbrzymiemi tekami pełnemi planów i rysunków p. Loewy zajechał na dworzec waszyngtoński i ponieważ była już spóźniona pora kazał natychmiast zawieść się na posiedzenie. Zadyszany wszedł do sali, gdzie kilkudziesięciu panów siedziało już naokoło stołu, witając przybysza z powagą. P. Loewy rozłożył swoje plany na stole, a poważni dżentelmeni pochylili nad nimi głowy w wielkiem skupieniu.

— Niema w tem nic sprośnego — zauważył jego sąsiad po prawicy.

— Czy pan sądzi, że te rysunki mogłyby wywołać zgorszenie publiczne i szerzyć niemoralne skłonności wśród czytelników? — zapytał ktoś z przeciwka.

P. Loewy przetarł czoło, by stwierdzić, że nie śni i zawołał: — Co do djabła mają moje plany helikopteru wspólnego ze sprośnością?

Teraz dopiero sprawa się wyjaśniła. P. Loewy w pośpiechu wszedł do niewłaściwego pokoju. Odbywała się tam właśnie rozprawa, na której rozstrzygano, czy dyrektor poczty miał prawo odebrać "second mail permit' wielkiemu magazynowi "Esquire", zarzucając mu że jest niemoralny w treści.

P. Loewy zgarnął nerwowo swoje rysunki i puścił się na poszukiwanie właściwego pokoju w olbrzymim gmachu rządowym przy Constitution Avenue.

POLISH WEEKLY
Editorial Office:
806 Lexington Avenue
New York City, 21
Tel. REgent 7-4168

Publishers:
Association of Writers from Poland

Editors:
Zenon Kosidowski
Jan Lechoń
Jerzy Tepa
Kazimierz Wierzyński

Subscription:
Monthly 40 cents
Half yearly — $2.40
Yearly — $4.50